

OGNIWO

TYGODNIK NAUKOWY, SPOŁECZNY, LITERACKI I POLITYCZNY.

NAJWYŻSZY UKAZ IMIENNY

do Senatu rządzącego o wskazówkach ku udoskonaleniu porządku państwowego.

Według uświęconych tradycji koronowanych przodków Naszych, nieustannie myśląc o szczęściu powierzono Nam przez Boga państwa, przy niezmiennym zachowaniu nienaruszalności zasadniczych praw państwa, widzimy zadanie rządu w baczej troskliwości o potrzeby kraju.

Odróżniając wszystko, co istotnie odpowiada interesom narodu rosyjskiego, od częstokroć błędnych, przez przemijające okoliczności wywołanych dążeń, gdy jednak potrzeba tej lub innej zmiany okazuje się dojrzałą, to uważamy za niezbędne przystąpić do urzeczywistnienia jej, chociażby dana zmiana pociągnęła za sobą wniesienie do prawodawstwa istotnych reform. Nie powątpiewamy o tym, że urzeczywistnienie takich przedsięwzięć powitane będzie sympatycznie przez tę dobrze myślącą część Naszych poddanych, która rzeczywistą pomysłowość ojczyzny widzi w podtrzymaniu spokoju państwowego i w nieprzerwanym zaspakajaniu codziennych potrzeb narodowych.

Stawiając na czele trosk Naszych myśl o najlepszym urządzeniu bytu najliczniejszego u nas stanu włościańskiego, uważamy, zgodnie z Naszemi wskazówkami, że sprawa ta jest już rozpatrywana. Równocześnie obok szczegółowego miejscowego rozpatrywania pierwotnych projektów ministerjum spraw wewnętrznych, obecnie, w specjalnej radzie, składającej się z najdoświadczeńszych osób wyższego zarządu, badane są ważniejsze kwestje urzędzenia życia włościan, na podstawie wiadomości i zdań ujawnionych podczas badania ogólnych potrzeb przemysłu wiejskiego przez komitety miejscowe.

Rozkazujemy, aby prace te doprowadziły prawa o włościanach do zgodności z ogólnym prawodawstwem państwowym, ułatwiając przez to zabezpieczenie korzystania przez osoby tego stanu przyznanego im przez Cesarza Oswobodziciela prawa pełnoprawnych, wolnych obywateli wiejskich.

Rozglądając się następnie w obszernej dziedzinie dalszych potrzeb narodowych, uznajemy za nieodzowne, w celu ustalenia prawidłowego w ojczyźnie Naszej biegu państwowego i społecznego życia, przedsięwziąć skuteczne środki dla ochrony pełnej siły prawa, tej najważniejszej w samowładnym państwie podpory Tronu, aby nienaruszalne i jednakowe dla wszystkich wykonywanie tych praw uważane było za najpierwszy obowiązek wszystkich podwładnych Nam władz i urzędów, niewykonanie zaś pociągało nieuchronną za każdy samowolny uczynek odpowiedzialność i w tym celu należy ułatwić osobom poszkodowanym przez takowe uczynki sposoby osiągnięcia sprawiedliwości, dając instytucjom ziemskim i miejskim możliwie szeroki udział w zawiadywaniu różnemi sprawami miejscowego porządku, udzielając im w tym celu niezbędnej w granicach prawa samodzielności i powołując do działalności w tych instytucjach, na jednakowych zasadach, przedstawicieli wszystkich części ludności zainteresowanej w sprawach miejscowych.

W celu zaś prędszego zadośćuczynienia tej potrzebie, utworzyć oprócz istniejących obecnie instytucji gubernjalnych, powiatowych i ziemskich, w ścisłym z niemi związku instytucje społeczne, mające za zadanie zarządzanie gospodarstwem miejscowym w niewielkich pod względem obszaru ucząstkach.

W celu zachowania równości przed sądem względem osób wszystkich stanów, wprowadzić do organizacji sądowej w państwie konieczne ujednostajnienie i zapewnić in-

stytucjom sądowym wszelkich stopni niezbędną samodzielność.

W dalszym ciągu rozwinięcia przyjętych już przez Nas środków co do zabezpieczenia doli robotników w fabrykach i zakładach przemysłowych, zająć się zaprowadzeniem państwowego ich ubezpieczenia.

Przejrzeć wydane w różnych czasach bezprzykładnych przejawów przestępczej działalności wrogów ogólnego porządku prawne przepisy wyjątkowe, których zastosowanie związane ze znacznym rozszerzeniem atrybucji władz administracyjnych, postarać się jednak przy tym tak o możliwe ograniczenie co do miejscowości, na które się on erozciągają, jak i o dopuszczenie ograniczeń praw osób prywatnych tylko w wypadkach istotnie zagrażających niebezpieczeństwu Państwa.

W celu wzmocnienia wyrażonego przez Nas w Manifestie 26 lutego 1903 r. niezmiennego pragnienia serdecznego ochrony uświęconej zasadniczymi prawami Państwa, tolerancji religijnej, poddać przejrzemu przepisy o prawach rokoszników, a również osób należących do obcych wyznań. Niezależnie od tego przedsięwziąć już obecnie stosowne środki w drodze administracyjnej, celem usunięcia w ich bycie wszelkich ograniczeń nie ustanowionych przez prawo. Dokonać przeglądu przepisów obowiązujących, ograniczających prawa inorodców i mieszkańców oddzielnych miejscowości Państwa, z tym, aby z liczby tych przepisów na przyszłość były utrzymane te tylko, które wywołane zostały istotnymi interesami Państwa z jawną korzyścią narodu rosyjskiego.

Usunąć z pośród obecnie obowiązujących postanowień co do prasy zbyteczne ograniczenia i postawić słowo drukowane w granicach ścisłe określonych przez prawo, nadając przez to prasie ojczystej stosownie do postępów oświaty i należącego jej skutkiem tego znaczenia, możliwość godnie wypełnić wysokie posłannictwo—aby była szczerym wy-

razem rozumnych dążeń ku pożytkowi Rosji.

Wskazując na szereg poważnych reform wewnętrznych na powyższych zasadach, które nastąpią w najbliższej przyszłości, co do części których w myśl danych przez Nas jednocześnie wskazówek, wskutek różnorodności i ważności tych reform uznajemy za dobre ustalić i sam sposób narad co do środków najprędszego i pełnego ich urzeczywistnienia. W szeregu Naszych instytucji państwowych zadanie ścisłego ujednostajnienia w odrębnych oddziałach zarządu należy do Komitetu ministrów; z tego powodu rozkazujemy Komitetowi ministrów co do każdego z powyższych przedmiotów wejść w rozpoznanie kwestji co do najlepszego wprowadzenia w życie Naszych zamiarów i przedstawić Nam w najkrótszym czasie swe opinie co do dalszego skierowania w ustanowionym porządku stosownych projektów.

O dalszym biegu w opracowaniu wskazanych prac Komitet ma składać Nam relacje.

Na oryginalne własną Jego Cesarzkiej Mości ręką podpisano:

MIKOŁAJ.

W Carskim Siole, 12 grudnia 1904 r.

Postępy językoznawstwa.*)

Niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę na zaniedbanie u nas językoznawstwa czyli lingwistyki albo gлотyki, nauki dziś na Zachodzie nader rozwiniętej, a zajmującej się badaniem języka w znaczeniu najrozszerzonym. Powszechnie uważamy ją za praktyczną znajomość języka, lubo tak nie jest i być nie może. Podstawę jej tworzy psychologia i socjologia z uwzględnieniem metody doświadczalnej. Z tego powodu, aczkolwiek lingwistyka wyłoniła się z filologii, jednak, jak chemja i alchemja, tak pierwsza z następną nie ma wspólnego, acz w ustach przeciętnej inteligencji przez filologję rozumiemy badanie mowy ludzkiej. Konserwatyzm zaśniedziały, będący puszczoną po istniejących ongi szkołach jezuickich, nie pozwala nam odróżnić rzeczy zgoła odrębnych. Duch „Societatis Jesu“ zawsze i wszędy ma

nasz umysł. Wiadomo, że narodowość, plemiennosc i wyznaniowość za jedno mamy, lubo pojęcie to wprowadza nas niekiedy w kłopot wobec hakatyizmu ks. kardynała Koppa, albo reguły ś. Augustyna, obowiązującej ongi Zakon teutoński rycerzy malborskich, zwanych u nas Krzyżakami, Imiona niemieckie „Zygmunt“, „Jadwiga“ uważamy za polskie, lubo św. Jadwiga, księżna śląska, była Niemką, nazywała się bowiem „von Audechs“ i była córką hrabiego Meranji tj. Dalmacji, a nie Meranu tyrolskiego. Cóż więc dziwnego, że nie umiemy odróżniać filologii od lingwistyki? Sądźmy, że bez znajomości narzeczy słowiańskich, dostatecznie mowę polską poznać możemy. Wieleby można było przytoczyć faktów z tej naszej erudycji filozoficzno-teologiczno-historyczno-filologicznej, ale o „Ryczywole zamileźć wolę.“ Między przodownikami w dziedzinie rozwoju myśli poczesne zajmuje miejsce p. Baudouin de Courtenay. Nazwisko jego dosyć znane w kołach inteligencji, ale tylko nazwisko; bo prace jego mało kto widział, a tym mniej czytał. Słuszna, że komitet kasy im. Mianowskiego nie odmówił pomocy uczonemu badaczowi, pozwalając mu zebrać w jedną całość rozproszone po rozmaitych publikacjach rozprawy. W artykule p. t. „Językoznawstwo czyli lingwistyka w w. XIX“ autor radzi wyswobodzić się od przestarzałego scholastycyzmu, zaczynać pierwiej badania języków żywych, a później dopiero przejść do zabytków piśmiennych; w badaniu dźwięków posilkować się metodą doświadczalną, rozszerzając przedmiot przez wprowadzenie głosów zwierząt, „z drugiej zaś języki z właściwościami wymawiania, dotychczas dla nas niezrozumiałymi“; zmienić litery na inne, oparte na rozbiórce dźwięków. Pożądane jest, abyśmy, opierając się w lingwistyce na myśleniu ilościowym matematycznym, zbliżyli tę gałąź wiedzy do nauk ścisłych. W miarę udoskonalenia się analizy jakościowej w psychologii, zależna odeń lingwistyka stanie się ścisłszą. Badanie mowy, uznanej za czynnik psychiczno-socjologiczny, powinno być obiektywnym. Tak zwane „prawa językowe“ należy zastąpić przez równoleżnik (ekwiwalent) psychologiczny. Pominąwszy inne uwagi autora, których tu dla braku miejsca nie wymieniamy, zgadzamy się najzupełniej z jego zdaniem, że katedry językoznawcze powinny być oddzielone od historii literatury, a natomiast połączone z katedra-

mi socjologicznymi i przyrodniczymi.

Odróżnić należy język-indywiduum od języka-plemienia. Pierwszy się rozwija, drugi zaś, pozbawiony tego rozwoju, wykazać może tylko historję, tj. „następstwo zjawisk jednorodnych, ale różnych, powiązanych ze sobą przyczynowością nie bezpośrednią, ale tylko pośrednią.“ Gramatyka zajmuje się językami plemiennymi, które są właściwie idealnymi, bo nie obejmują tego wszystkiego, co się do niego odnosi.

Żałujemy, że brak miejsca nie pozwala nam szczegółowo rozpatrzyć się w rozprawach czcigodnego autora. Oprócz „Prac filologicznych“, gdzie, jak widzę, gościnnego przyjęcia z niewiadomych mi powodów spodziewać się nie mogę, niema u nas czasopism specjalnych, gdziebym swobodnie myśl swoją wypowiedział. Niestać mi środków na odpowiednie wydawnictwa, a udawanie się w tym względzie o zapomogę do kasy Mianowskiego byłoby bezowocnym, zwłaszcza, że żaden z tutejszych specjalistów nie podjąłby się referowania mojej pracy, jak to mnie doświadczenie nauczyło. Zawartą mając drogę, musiałem się rozstać z lingwistyką, nie chcąc pp. specjalistom zabierać czasu.

W broszurce p. t. „Kwestja alfabetu“ znakomity lingwista rozpatruje w pięknej i żywej postaci długie perypetje dramatyczne „kwestji“ alfabetu litewskiego od chwili, gdy lekomyślnie poczęta została w rozporządzeniu przypadkowym i sankcji prawa pozbawionym z d. 13 września 1861 r. aż do Najwyżej w d. 24 kwietnia (9 maja) r. b. zatwierdzonej uchwały Komitetu ministrów, która stwierdziła wreszcie, co wiadomo oddawna i czemu Senat dał wyraz dobitny w dwu i czytelnikom naszym znanych sprawach inżyniera Maciejowskiego przeciwko ks. Szachowskiemu (1902) oraz Pawła Wyszyńskiego (1903) r. — że nie było żadnego prawa, zabraniającego drukowania książki i innych wydawnictw litewskich czcionkami łacińskimi, że zatym wszelkie środki, ograniczające swobodę ruchów na tym polu, są pro prostu naruszeniem prawa.

J. F. Gajster.

*) Baudouin de Courtenay: „Szkice językoznawcze“. Tom I. Z zapomogi Kasy imienia Józefa Mianowskiego. Warszawa, 1904.— „Kwestja alfabetu litewskiego w państwie rosyjskim i jej rozwiązanie“, str. 44.

Feliks Brodowski.

DRZEWA.

Nowela.

(Prawo przekładu i przedruku zastrzeżone).

(Dokończenie).

Kres kariery nie był dalekim dla dyrektora. On sam oznaczył ten kres, chwilę — kiedy ustąpi. Był to człowiek rzetelnej ambicji i dumy, która zżyma się na myśl, że mogliby—ktoś by mógł—dać do zrozumienia, iż—już czas... Dla niego najnaturalniejszą rzeczą było pójść w ślady tych—bardzo zresztą nielicznych—premjerów w gabinetach zagranicznych, którzy niekiedy decydują się na ustąpienie w pełni popularności i uznania. Z tą różnicą—że taki premjer myśli nie tylko, by cieniem swym nakryć następcę, by w blasku roznieconym przy zachodzie poginęły mdle, wschodzące światła, lecz przedewszystkim o — powrocie do władzy, dyrektor zaś resztę tego programu odrzucał. Nakryć kogoś swym cieniem, rozniecić piękny pożar wieczornych blasków przy swym zachodzie—i owszem, lecz odszedłszy—już nie wracać. Ostatnim wielkim faktem miało być załatwienie od pół-wieku ciągnącej się sprawy ulicy po drugiej stronie skweru.

W ciągu kilku lat zaniedbał tę rzecz trochę umyślnie. — Niech się ustali mniemanie, że wobec bajecznych wymagań osób interesowanych i opieszłości władz miejskich jest to węzeł, nie dający się ani rozwiązać, ani rozciąć. Tymczasem zaś on trzyma w ręku nitkę, za której pociągnięciem w odpowiedniej chwili pajacyk podskoczy. Chwila podeszła. Dyrektor rozwinął gorączkową czynność, ugłaskał jednych, obudził energję innych osób i—rzecz się dokonała.

Efekt był piękny.

Nie dyrektor otrzymywał na ostatku upominek, lecz, przeciwnie towarzystwu od niego dostawał się wspaniały dar.

Mógł teraz powiedzieć:

— Barykada obalona, miejsce wolne. Stawiajcie sobie swe wspaniałe gmachy, w których ja już nie zamieszka.

On zamieszka u siebie, na wsi, w nowonabytym pałacyku, okolonym parkiem.

Dobre serce jego sprawiło, że natychmiast pomyślał o Anastazym.

— Nie mogę zabrać trawnika, drzew i mojej galerji biednych, lecz

zabiorę tego dziwaka—będzie mi to wszystko przypominał.

Co dla niego obmyśleć? Ależ, naturalnie, niech robi cokolwiek w parku—tam znajdzie całe przestrzenie, gdzie będzie mógł oglądać swobodne zrzeszanie się roślin.

I oto znowu w połowie marca odbyła się rozmowa z Anastazym. Dyrektor siedział w fotelu przy biurku.

— Mój Anastazy, czy wy też wiecie, od ilu to lat robimy starania, żeby przeprowadzić ulicę po drugiej stronie skweru?

Z takim jak zawsze przymusem wydobywany głos odpowiedział ode drzwi:

— Trzydzieści lat podobno, panie dyrektorze.

— Gdzież tam — całe pięćdziesiąt. Sprawa ta datuje się prawie od początku istnienia towarzystwa; podejmowało ją dwu moich poprzedników. Więc—mój Anastazy—mnie się powiodło to, co im się nie udawało.

— Będzie ulica, panie dyrektorze?

— Będzie ulica. A za jaki miesiąc tu, na skwerze, poczną zakładać fundamenty pod nowy gmach dla naszego zarządu.

— Napewno już, proszę pana dyrektora?—odezwał się z większym trochę ożywieniem.—Bo to i przeszłego roku ludziska mówili i zaprzyszłego, a jakoś—nic.

— Ale teraz nie ludziska wam mówią, tylko ja, mój Anastazy. Z was dziwny człowiek.

Dyrektor zapanował nad lekkim zniecierpliwieniem. Wstał i podszedł do okna. Mglisty opar ślotego dnia wisiał nad skwerem; droga rozmiękała w czarną wstęgę błota, opasującą szary trawnik; mokły szeregi pustych ławek; drzewa zastygły w spokojnym, cierpliwym wyczekiwaniu swojej wiosennej przyszłości.

— Szkoda naszych drzew, Anastazy.

Stróż mileżał.

— Myślałem, że może niektóre z nich da się zachować, jeśli przypadną w obrębie przyszłego podwórza. Ale widzę, że źle są rozlokowane. Żadne nie ocaleje.

— To i lepiej, — doleciało ode drzwi.

— Co? Nie załujecie ich?

— Mówię tylko — nie daj Boże, żeby miało zostać jedno, czy dwa. One żyły gromadą.

— Ach, tak. Wy to lepiej wiecie—wyrzekł dyrektor z zwykłą swą pobłażliwością.

I naraz uczył prawie rozrzewnienie na myśl o gromadnej śmierci tych drzew. Czy to podmuch był

jego własnej starości, uczuwającej lekki strach przed szyldwachem, który gdzieś zastąpi mu drogę: Dalej nie wolno!... Czy—przewidywanie, że przykro mu będzie rozstawać się z widokiem, do którego nawykł...

— No, mój Anastazy, przecież nie popłaczemy się nad drzewami, — rzekł miękko i pocieszającym tonem. Leczaraz, rzuciwszy okiem ku drzwiom, pojął z niemiłym zdumieniem, że to tylko do niego miało przystęp roztkliwienie. Oczy stróża szklily się złym, ponurym blaskiem. Dyrektor uczył coś w rodzaju niechęci do niego.

Mileżał chwilę, potem sucho mu oznajmił, że zamierza wziąć go z sobą na wieś.

— Jeśli Anastazemu nie trafi się coś lepszego, — dodał z pewnym przekąsem.

Zima w tym roku, od początku łagodna i prawie bezśnieżna, kończyła się ślotą długotrwałą, która sprawiała, że świat rozmiękał w chlapanie deszczu, śniegu, drobnego gradu, mgły, błota. Potym, jednego dnia wiatr uprzął i obmiótł kawałek drogi dla słońca, które przez całych godzin kilka świeciło nie poza zasłoną i chuchało ciepłem.

Widocznie musiał to być zadak pogody, bo już na drugi dzień ukazał się żyd samotnik, wietrzący wiosnę. Przez chwilę stał niezdecydowany u wejścia skweru—przed sobą miał ciekłe błyszczące błoto, rozlane po drodze. Ale słońce świeciło.

Zapewne powiedział do siebie:

— Drugi raz może ja się nie wybiorę, lub może słońce się nie wybierze.

I wszedł na skwer.

Tuż przy bramie leżała cegła; wziął ją, a dotarszy do ławki, położył na ziemi, w rodzaju podnóżka, na którym oparł nogi w wykoszlawionych, zabłoconych butach.

Tym razem nie był sam tutaj. Ugan-ku dyrektorskiego, na stopniu, skulony siedział mały, czarniawy człowieczek, mający łokcie oparte na kolanach i podbródek do stulonych pięści przywarty.

Popatrzyli na siebie. Człowieczek zawiął wysoko nogawice u spodni, wstał i, obojętnie chlapiąc w swych kamaszach po błocie, doszedł do żyda i stanął przed nim.

— Dzień dobry!

— Dzień dobry!

Były to pierwsze słowa, jakie kiedykolwiek między sobą zamienili, lubo znali się od wielu lat. Stróż usiadł, chrząknął i począł za-

cierać ręce. Nawiedziła go — co rzadko się zdarzało — potrzeba, by coś do kogoś mówić. Ale potrzeba była wewnątrz, w duszy, na zewnątrz zaś gardło i język, nienawykłe do mowy, z trudnością przepuszczały słowa.

— Będzie wiosna, panie starozakonny?

— Już jest.

— Aha.

Milczeli.

— Gorzej wyglądacie w tym roku, — zaczął znów stróż.

— Gorzej? Nie może być — odparł żyd.

Na jego mizerne, rozorane w zmarszczki, starcze jagody wydobywał się z trudem od wewnątrz idący uśmiech.

— Co to znaczy gorzej? Ja mówię moim dzieciom i wnukom, że wyglądam coraz lepiej. Bo, widzicie, człowiek coraz to jest podobniejszy do tego, który już zupełnie dobrze wygląda i już ani się budzi, ani wstaje, ani łązi, ani zjada chleb innym.

— Aha. To nie boicie się śmierci?

— I, cóż to wielkiego śmierć.

— Tak, to nic wielkiego, — zgodził się stróż — i znów milczeli czas jakiś.

— Ale wy jeszcze pożyczecie... Zresztą — tak, czy tak — czy macie jeszcze pożycz na świecie, czy już nie długo — zawsze dziś pożegnajcie się z tym miejscem.

— Z jakim miejscem? — zastanowił się żyd, mrużąc jedno oko, a drugie ku stróżowi zwracając.

— Z tym skwerem. No — z tą waszą ławką, z drzewami...

— Tak? Mówicie, że tu więcej już nie przyjdę?

— Mówię, że jak przyjdziecie za rok a chociażby i za miesiąc, to już nic tego nie będzie; drzewa wytną, zaczną stawiać dom.

— Nie tego nie będzie? Ha, trudno, widać Pan Bóg tak chce.

— Nie, to ludzie tak chcą.

— Niech będzie — że ludzie.

I zaczął się podnosić.

— Już pójdę. Bywajcie zdrowi!

Na odchodnym obrócił się raz jeszcze do stróża.

— Nie martwicie się! Przecież na tamtą stronę, gdzie kiedyś pojedziemy, nie przenieslibyście drzew, a na tej stronie dla waszych i naszych dzieci urosną gdzieś nowe.

Ale Anastazy pokręcił głową, jakby chcąc powiedzieć: „Ja myślę co innego“.

Zostawszy sam, począł uporeczywie i z troską w oczach przyglądać się gałązkom. Nie widać było po drzewach ocknięcia się.

„Ah, — pomyślał — gdybym mógł, terazbym je wszystkie układł pokotem, niechby własną ręką — zanim jeszcze dostaną liści. Terazby nie tyle czuły.“

Lecz, gdy jeszcze dzień przetrzymało ciepło, prąd życia drgnął i naraz krążenie jego w drzewach stało się widocznym. Wszystkie do ostatniej gałązki podniosły się. Dodał bezsilne, wiotkie, łamliwe, zjedrniały, rzeźko porwały się ze snu i sprężyście parły w górę, w powietrze.

Były to znów żywe i rozbudzone istoty, i teraz nie już nie mogło usnąć ich czujnej radości.

Na skwerze szybko podsychało. Południe ścigało już ludzi, tych szczególnych ludzi o wyglądzie niedobitków, którym cudem udało się ocaleć z pogromu zimy. Pokazywały się dzieci na pałkowatych nóżkach, odrętwiałe jeszcze, nie mogące uwierzyć, że to już można biegać i nie trzeba się tulić po kątach.

Ledwie jednak cień domów nakrywał skwer, zaraz ciągnęło chłodem surowym i wilgotnym, który wszystkich wypląsał. Pod wieczór szklistą tafelką lodu pokrywały się ostatnie małe kałuże na drodze i grunt marzł.

Zostawał — mimo zimna — tylko mały czarniawy człowiek, skulony na stopniu ganku, gdzie go niewiele było widać. Gdy się ściemniło i wcale go nie było widać, podnosił się i stawał pod którym z drzew, opierając się o pień.

A kiedy rano tu wracał, pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, były gałązki kasztanowe, które już zdążyły się wygiąć w łuki, mające na końcu pęk ciemny, polakierowany żywicą.

— Już zawiązują liście, — myślał z uczuciem, które niczym się nie różniło od rozpacz. Zawiązują liście — po co — po co?..

Wreszcie zaczęło mu być tak ciężko, iż musiał się bronić przed czymś, co go usiłowało zgnieść. Począł sobie robić nadzieje. Czy nie nastraszone go czasem. Może nic nie będzie. Może się coś odmieniło. Oto skwer pełniutki ludzi; wszystko, jak bywało dawniej; wszystko tak może zostanie.

Nazajutrz wielu naraz robotników rozpoczęło pracę przy burzeniu kamieniczki, która tyle lat broniła skweru.

Ah, więc prawda —

Postanowił sobie, że będzie patrzył na wszystko, że nie odstąpi „ich“ do końca.

Pewnego rana grupa ludzi zebrała się na ulicy przy przewróconych sztachetach skweru, za któ-

remi ciągnął się już szereg ustawionych prostopadle belek pod rusztowania. Koło drzew panował ruch.

Pierwsza miała paść akacja, która swe bezlistne jeszcze, dziwnym kurczem poskręcane konary, tragicznie rozmiotła ku niebu, rzucając w obojętne jego przestrzenie swoją straszną, niemą skargę.

Odezwał się naprzód topór, którym zrobiono nacięcie; zazgrzytała piła, zarzucono sznur —

Gdy rozległ się trzask, ktoś w grupie ludzi zawył przeciągle, ohydny, psim głosem. Jakiś człowiek, roztrącając innych, pobiegł ulicą z wyciągniętymi przed siebie rękami i strasznie rozszerzonymi źrenicami oczu...

KONIEC.

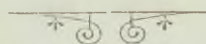


C I E Ń.

Szedł w ciszy srebrnej nocy — z zadumą
[w postaci,
Twarz bladą mu okalał nimb cierni po-
[kutny,
Spojrzenie słał ku ceniom swych umar-
[łych braci —
Kędyś — za tuman srebrny — za gwiazd ko-
[rowody —
Szedł — tłumiąc w wyschłej piersi wszech-
[miłości głody.
Szedł w ciszy nocy jasnej duch śmiertel-
[nie smutny.

Sam szedł. Nikt nie wskazywał mu pu-
[stynnej drogi,
Nikt nie szedł śladem jego — i tylko po
[skale,
Po rozpadlinach, głazach, przez puste roz-
[łogi,
Przez bór, księżycą światłem błękitnym
[oblany,
Wlókł się za nim cień dtugi — czarny —
[polamany —
Nicodstępny, — myśl dziwna o wzgardzo-
[nej chwale.

Zofja Ryggier-Nałkowska.



Wasył Stefanyk.

M A J.

Danyło czekał przy białej bramie, zaglądał do pańskiego ogrodu jak złodziej i nie ośmielał się wejść.

— Albo ja wiem, czy można tam iść... wybiegnie jeszcze i da w pysk... skąd mogę wiedzieć, że nie da?

Przez pański ogród biegły białe, równiuteńkie ścieżki, niemi tylko mógł przedostać się do dworu, a bał się na nie stąpić. Więc czekał koło bramy.

Wszyscy chłopci, a jest ich wiele milionów, umieją czekać długo i cierpliwie. Gdy „pan“ jest w kancelarji, to oni czekają stojąc. Żeby ich nie wiem ilu było, nie dadzą o sobie najmniejszego znaku życia. Stoją sobie cichutko, twarze ich stopniowo białawieją, a wyraz z twarzy zsuwa się gdzieś aż na plecy pod koszulę. Spiąc, stoją bezmyślni i napót przytomni, a „pan“ wśród nich podobny jest do czarnej muchy, która wlaźła w gęsty miód. Temu, co stoi z brzegu, najbliżej stołu, zwykle jest najgorzej, gdyż nie może zapaść w zupełną senność. Co chwila roztwiera szeroko, aż pod samą czuprynę, oczy i ogląda się z niepokojem. Za nim wytrzeszczają oczy i oglądają się sąsiedzi i niepokój tego, co z brzegu, idzie falą poprzez wszystkich, aż do ostatniego, co stoi pod piecem. Ten z brzegu, jak wiatr w polu, wciąż kołysze i niepokoi wszystkie kłosa na niwie — od drogi aż do miedzy.

Gdy pana niema w kancelarji, chłopci siadają. Dobrze, że chociaż pół godziny mogą spocząć, dobrze, że chociaż jedna ręka albo noga odpocznie. Zbijają się w gromadkę i przysiadają, gdzie i jak kto może. Niektórzy trzymają w ręku kapelusze ostrożnie, aby się nie zgniotły. A kiedy już na dobre się ścisną, zaczynają po cichu, szepcąc gwarzyć.

— Pociągnąłbym trochę fajeczki?

— E, zostawcie lepiej.

— A tytoń macie kupowany?

— U mnie w ogrodzie rośnie.

— Nie mówcie lepiej, bo jeszcze kto posłysz...

Wtedy wszyscy wsuwają ręce w zanadru głęboko, aż za plecy zapychają swoje kapiuchy, bo nuż jakie licho zechce szukać! Szeptu ucichają, twarze drewnieją, ślina sączy się z ust a głowy opadają na

dół. A gdy zdarzy się pomiędzy niemi jaki niecierpliw, to nie da im wszystkim spokojnie na podłodze posiedzieć: albo mu ręka ścierpnie, albo jakie licho w sam grzbiet go ugryzie — nie wytrzyma i poruży się. Za nim poczną się ruszać sąsiedzi i harmonja wzajemnego naciskania wnet przepadnie. Zaczyna się na nowo układanie nóg i rąk, i znów jakieś licho je zepsuje.

— Jacy ci ludzie niecierpliw, laboga — mruknie jakiś wytrwalszy i wnet zamknie oczy.

Tak wszyscy oni czekają, tak czekał i Danyło przy bramie, chociaż był sam. Sen go morzył i myśli jego płątały się, zasuważąc się jedna za drugą. Kiedy szedł do pana, miał jasny plan w głowie. Dojrzawszy go, miał zedrzyć kapelusz z głowy i iść ku niemu wolno, ostrożnie, żeby pańskiego kamyczka nie urazić. Jak podejdzie już bardzo blisko, to ma wytrzeszczyć oczy na pana i patrzeć tak, żeby pan pomyślał sobie: to jakiś bardzo biedny człowiek! Potym przypadnie do ręki, pocałuje ją z obudwu stron i odstąpi nieco w tył. Spuści ramiona, ciśnie kapelusz poza siebie na ziemię, obetrze rękawem usta i przemówi.

— Przyszedłem do wielmożnego pana prosić się na służbę. Przednowek ciężki, dzieci czworo w chałupie, a na to wszystko jeno szmat ogrodu. Muszę iść w służbę, a robić wszystko potrafię, bom do tego nawykły. Proszę łaski boskiej i pańskiej, aby pan wielmożny mnie wziął i wydać mi kazał chociażby zaraz korzec ordynarji na żonę i dzieci, a do służby stanąć mogę natychmiast.

Pierwsze słowo pana będzie:

— Pewnieś złodziej?

— Ja, panie wielmożny, jeschcem cudzego źdźbła nie poruszył.

— Po co łiesz, łajdaku, czyż to być może, żeby chłop nie kradł? Chyba nie jesteś chłopem?

— Najprostszy chłop, ale cudzego ruszyć nie lubię.

— Toś pewnie pijak?

— Z gorzalką się nie zadaje, bo niema za co.

— Szczekasz jak pies, a bez gorzałki umarłbys!

— Bez niej nie umarłbym, a bez chleba to napewno!

— Coś ty za mądrze odpowiadasz, musiałeś w kryminale siadywać, tam cię rozumu nauczyli.

— Niech ręka Boska broni! Polowę wieku przeżyłem, a noga moja w areszcie nie postać.

— A na cóżes tyle dzieci nałuskał?

— To Bóg, wielmożny panie, dzieci daje.

— Książd pewnie ciebie tego nauczył?

— Ja z księdzem się ta bardzo nie wdaje, bo to kosztuje, a do kościoła nie chodzę, bo nie mam w czym.

— Toś ty radykał i dla tego nie dajesz ze siebie skóry drzeć.

— Gdybym nawet chciał dać, to nie dam, bo nie mam, a on gdyby chciał zedrzyć, to nie zedrze, bo niema co zedrzyć. Więc i nie spotykamy się...

Wiedział on już naprzód, że pan musi człowiekawpierw z błotem zmieszać, że musi pośmiać się z niego, a potym dopiero na służbę przyjmie. Szedł pewny siebie, aż koło bramy zawahał się i stanął. Dwór był w obcej wsi i nie wiedział, jak się doń przedostać. A w dodatku nie było kogo zapytać, gdyż dwór stał wśród pola. I Danyło czekał. Jego jasny plan zmącił się, więc skrobał się w głowę i nieśmiało spoglądał w ogród.

— Oni tam na spacerek sobie chodzą po tych ścieżkach — jak usypane piaskiem...

Wzrok jego błakał się długo, aż się zatrzymał na pawiu, który chodził przed dworem.

— Z tego ogona miałbym jakie kilka groszy, żeby tak zabiegł i obydwoma rękami zań złapał... Nie wiadomo, czy mięso jego można jeść?

Rzucił okiem po polach.

— Ten ci ma gruntu do syta i koło roli porządnie chodzi. Ba, gdzie on to wszystko podziewa?

Myśli jego rozłaziły się na wszystkie strony.

— Ładna wiosna, ładna, że ha!

Im dłużej czekał, tym mniej widział. Siedział jak słup i czuł, że zaśnie. Żeby się od snu obronić, rozdierał oczy, tarł ręką twarz i był podobny do nieszczęsnego wojownika, który ot za chwilę zdać się ma na łaskę i niełaskę wroga. Po pewnym czasie przypadł jedynym bokiem do ziemi i chciał widocznie tak się urządzić, że niby to śpi, a niby czeka. Przytym wyciągnął się cały i zamknął oczy. Nie uszło jednak minuty, gdy mu coś szepnęło do ucha:

— Spij, spij pod pańską bramą, a stangret tak cię uraczy batogiem, że popamiętasz!

Zerwał się przestraszony, obejrzał się dokoła i stał jak podstrzelony. Postał chwilę, machnął ręką i ruszył precz od bramy w pole. Wlaźł w trawę i rozłożył się na dobre do snu. Przyśnił mu się pan, i jego ręce, i białe ścieżki. Pan mówił mu, żeby wdział na

głową kapelusz, ale on nie chciał. — Ja, proszę pana, biedny człowiek nie mogę wkładać kapelusza na głowę, bo jestem biedny, taki biedny człowiek...

Słodki sen nawiewał mu te przywidzenia i Danyło spał spokojnie.

Słońce śmiało się z niego, posyłało ku niemu swoje promienie, pieściło go jak matka rodzona, kwiaty całowały jego czarne, nieczesane włosy, koniki polne przeskakiwały przez niego. A on spał spokojnie; czarne nogi i czarne ręce wyglądały tak, jak gdyby były przyprawione do jego ceglastego ciała.

Tł. z małoruskiego *St.*



LITERATURA OBCA.

HENRI DE RÉGNIER „La double maîtresse.”

Prawie wszyscy ci ludzie, których wyśnił w swej poetyckiej wyobraźni Henryk de Régnier, byli dawni, nie dzisiejsi; potrzeba im było innych czasów, innego życia, aby mogły się rozwinąć i roztoczyć ich charaktery. To byli Grecy pasterze i dziewczki, którzy przy szumie fontanny, pod cieniem drzew lub pod błękitem nieba grali pieśni na fletni i żyli za pan brat z nimfami, i z faunami leśnymi, i z syrenami nad morzem (*Les jeux rustiques et divins*); to byli ludzie z czasów renesansu, namiętni, szaleni, podstępni, (*Les amants singuliers*), to byli dumni panowie z XVII wieku, którzy Chrystusa niekiedy uważali za współzawodnika (*Le rival*); to byli dworzanie najpierwszego, najwspanialszego dworu w Europie, żyjący uśmiechem króla (*Le bon plaisir*); to byli wreszcie tacy, których los zagnał w nasze czasy, lecz którzy tęsknią za przeszłością i chcieliby do niej powrócić (*Le mariage de minute*).

I oto w myśli poety powstała postać człowieka niezwykłego przez swoją samotność, słabość i nieumiejętność życia — i powracała doń często i z szczególnym uporem. I — jak mówi sam autor w przedmowie do „Podwójnej kochanki” — wymyślił on jej życie, ułożył odpowiadające jej dzieje, i dał szereg zdarzeń, otaczających ją, i wybranych w duchu jej usposobienia i charakteru. W naszych czasach albo nie mógłby istnieć taki pan de Galandot, albo też zginąłby w

szarości ogółu. Musiał on mieć dookoła siebie tych ludzi z XVIII wieku z ich zadowoleniem z siebie i z życia, z ich całą „*joie de vivre*“, z ich swawolnym wesołym zepsuciem, musiał mieć całą tę świetną, bogatą dekorację rokoka, aby od tła tego tak barwnego tym silniej odbijała jego wyjątkowo szara osobistość. Ten proces powstawania powieści wyjaśnia też i charakter tej jedynej w swoim rodzaju powieści historycznej, raczej powieści psychologicznej na tle historycznym; tu chodziło o odbicie ducha czasu, a nie o fakty i nazwiska znane z historii! Znamy tylko jedną powieść, której traktowanie przybliży się mniej więcej do „Podwójnej kochanki”: są to „Popioły” Żeromskiego i tu jednak, zaczawszy od drugiej części, wpadamy *en plein* w powieść historyczną, starego autoramentu (mówimy tylko o formie): stronicę całe zajmują opisy formowania szwadronów, wylizania pułków i oficerów; w dziele zaś de Régnier'a ani jednego zdarzenia, ani jednej osobistości historycznej! W tym leży oryginalność „Podwójnej kochanki” i przez to jest ona niepodobna do powieści historycznych, których autorami są artyści-archeolodzy jak Flaubert, lub też opowiadań à la Dumas ojciec. Zwykle się dorabia ludzi do epoki, de Régnier spróbował wyszukać i dopasować epokę do swego bohatera.

I różnica ta w traktowaniu daje się odczuć nie tylko w historycznych powieściach; nie, na zasadzie jej możnaby klasyfikować powieściopisarzy. Jedni, jak Flaubert, myślą tylko o nastroju, o kolorze powieści, i dla tego dla niego małą zdawało się zmianą, gdy po obmyśleniu już całego dzieła, w chwili przelania go na papier, bohaterką uczynił nie starą pannę, zasuszoną dewotkę, jak był zamierzał, lecz Emmę Bovary. Drugi wychodzą z przeciwnej zasady, ale i ich jeszcze silnie pociąga odtworzenie tła, jak w danym wypadku rokoko pociągnęło Henryka de Régnier; i jak bluszcz zasłania po części przed oczyma ludzi drzewo, które go podtrzymuje i bez któregoby istnieć nie mógł, jak w fudze ginie czasami temat, będący jednak jej *raison d'être*, tak szara postać pana de Galandot niknie w jasnych barwach otoczenia. Najrządzi pisarze wyciągają z tej metody ostateczne konsekwencje i, abstrahując od wszystkich zewnętrznych wpływów, piszą dzieła dążące do przedstawienia walk duszy ludzkiej poza czasem i przestrzenią. Daleko w tym kierunku zaszli Gide

w „Immoraliste”, Przybyszewski w „Im Maelstrom”, osiągnęli zaś ten cel w zupełności w swych dramatach Paul Claudel i Maurycy Maeterlinck.

Oprócz wzmiankowanej oryginalności jest i druga, musowa; oto główny bohater przepędził prawie całe swoje życie w samotności i opuszczeniu; gdzieś poza nim, w oddaleniu tętniło życie stulecia. Oczywiście, zwykły monologiczny sposób opowiadania tu się nie nadał, jeśli się chciało, jak to uczynił de Régnier, dać to mieniące się wszystkimi barwami pastelowymi tło; trzeba było szukać sposobu połączenia go z życiem de Galandot'a. I znalazł się on. Historji pana de Galandot dowiadujemy się nie od autora, lecz po większej części, jakby mimochodem, od osób działających, które epizody z życia tego dziwnego człowieka opowiadają pseudo-bohaterowi (bohaterowi bajki) „Podwójnej kochanki” Franciszko wi de Portebize. I tylko gdy danym jest już pretekst z zewnątrz, autor sam występuje przed nami na scenę i rozacza obrazy z życia pana de Galandot. Zagadnienie więc rozwiązane: śledząc życie pana de Portebize, człowieka swego wieku i niczym nie różniącego się od wielu mu współczesnych, poznajemy epokę; jego zaś poszukiwania odnośnie do pana de Galandot są pretekstem, by zapoznać nas z tym głównym bohaterem powieści. Interesuje zaś pan de Galandot Portebize'a, jako jego spadkodawca. Powieść zaczyna się też w tym jedynym momencie, w którym te dwa życia: pseudo-bohatera i rzeczywistego bohatera się z sobą stykają — w chwili, gdy ubogi Portebize otrzymuje wiadomość, że jest jeneralnym spadkobiercą bogatego pana de Galandot, którego nigdy na oczy nie widział; naturalna więc ciekawość pecha go, aby się dowiedzieć czegoś o tym swym dobroczyńcy — oto psychologiczne usprawiedliwienie techniki. A dziwny był to człowiek ten pan de Galandot. Słabą jego z natury wolę zabiło do reszty wychowanie, prowadzone przez matkę, skąpą dewotkę, która ujęła w swe stanowcze ręce ster domu. Kobiecie tej zmysłowość zdawała się przekleństwem i zbrodnią; wychowana obok brata, przypominającego swemi obyczajami bardziej satyra niż człowieka, nauczyła się widzieć w miłości gwałt i dlatego ideałem jej była czystość. Postarała się więc w synu swym zabić zmysły. Bez woli i bez zmysłów, oderwany od życia, wegietywał ten człowiek — manekin. Brakło mu inicjatywy,

więc poddawał się okolicznościom i ludziom, gdy takich spotykał. Pierwszy wybitniejszy fakt jego życia musiał go wyrwać z duchowego bezruchu, musiał go pchnąć raz na zawsze określoną drogą i wyrzucić na nim piętno na całe życie. Kuzynce Julji, przyszłej pani de Portebize, matce Franciszka, której obecność była jedynym wypadkiem, przerywającym monotonię pałacowego życia, los dał tę rolę. Charakterystyczną cechą Galandota było to, że działała nań i kierowała nim nie treść rzeczy, ale jej forma zewnętrzna; tak samo i z pamiętnej znajomości z Julją wyniósł on tylko wspomnienie obrazu tej chwili, gdy poznał działanie zmysłów; w jego pamięci zostały winogrona, które jadła wtedy Julja, i widok drzwi, otwierających się przed matką - nemezydą. To też podczas pobytu w Paryżu, jedyną jego przyjemnością było skupowywanie winogron, w które się godzinami wpatrywał; do Rzymu jedzie, usłyszawszy o winnicach kardynała Lamparelli, a jego przywiązanie do rzymskiej kurtyzany Olympji zaczyna się w chwili, gdy ujrzał ją jedzącą winogrona. Drzwi, otwierające się w chwili miłosnej z ukochaną kobietą, robią nań piorunujące wrażenie i odbierają przytomność; odtąd nie ośmiela się on dotknąć jej i zostaje niekochankiem, a sługą. Gdy raz wreszcie po wielu latach zdobywa się na to, że pieści jej ramię—drzwi znów otwierają się przypadkiem, a on w przerażeniu umiera.

I bała się szara, bezbronna postać karnawału, który szalał wokoło niej. Nie potrafił on nawet być wadzem, jakim został jego. Były nauczyciel, abbé Hubertet. Ten nie używał rozkoszy życia z musu, był bowiem biedny i brzydki, lecz kochał piękno bezinteresownie i to mu wystarczało, by zadowalać się swą rolą, pojmovać i odczuwać życie społeczne. Bywał on na ucztach u tancerek, gdzie przysłuchiwał się, wierzący i czysty, z pobłażliwym uśmiechem najśmielszym i najswobodniejszym rozmowom ateistów i libertynów, którzy bywali jego spółbiednikami; wychowanicę swą oddał abbé Hubertet do baletu, aby tam mogła wykształcić swą piękność i mogła zrobić z niej dobry użytek. Myśl bowiem, że mogłaby ona zmarnować swą urodę i wpaść w ręce profana, była mu równie przykra, jak widok starych monet rzymskich w obłocnym ręku chłopca włoskiego.

A przed jego oczyma huczy karnawał. Wielki wódz marszałek de

Bonfort, słynny ze swych znakomitych przegranych i wytwornie zorganizowanych odwrotów, jeden z bohaterów „tysiąca i jednej nocy“ pięknej Julji de Portebize. Jej mąż, a ojciec Franciszka—„le gros Porterbize“, hulaka, umiejący korzystać z urody i temperamentu żony, a którego jedyną mową pogrzebową były słowa marszałka, że dobrze uczynił, umierając przy biesiadnym stole w dobrym towarzystwie, gdyż za życia przeważnie w złym przebywał. Pan de Parmesnil, który zwiedził świat cały, wszędzie zażywając rozkoszy miłości, a którego znaleziono pewnego razu po trzyletnim pobycie na odludnej wyspie przechadzającego się zupełnie nago, ale z łaską w ręku i starannie wygoloną twarzą. Malarz Garonard, rozchwytywany przez damy świata jako portrecista, który jednak pogardzał obstalunkami, a malował z rozkoszą tylko misterje kobiecego ciała. Pan de Bercherolles, wydający z wdziękiem zdobyty majątek. Jego przyjaciel, biedny pan de Clair-silly, który się chwalił, że posiadał darmo wszystkie kochanki pana de Bercherolles. Wszyscy ci bohaterowie i bohaterki tych przygód romantycznych, które się odbywały w zacisznym domku primabaleriny panny Damberville, czy w pałacu podstarzałej a jeszcze nie dającej za wygraną pani de Gurcy, albo pani de Mailhene. Ale nad wszystkimi góruje epizodyczna postać pana Tomasza Tobysona de Tottenwood, tego wielkiego apoplektycznego Anglika w purpurowym kostjumie; zwiedził on świat szukając kobiet, wina i bizuterji. I oto zwierza się on panu Galandot: „Cała rzecz polega na tym, żeby postępować, jak się komu podobą. Oto ja, panie, przysięgam, że nie powrócę do Londynu, dopóki żyć tam będzie żona moja, której nienawidzę. Oto już od 20 lat włóczę po Europie moją nudę, bo na całym świecie jedna tylko rzecz sprawia mi prawdziwą przyjemność: to spacer po moście nad Tamizą, gdy pada drobny deszcz...“

A Julja de Porterbize? — „Zwei Seelen kämpften ach in ihrer Brust“—nie! tego o niej powiedzieć nie można, bo choć w istocie dwa ma charaktery, ale nie walczą one i umieją zawsze idealnie się z sobą pogodzić. Podwójne wychowanie: w purytańskim pałacu ciotki Galandot i w wesołym domku państwa du Fernay—oto przyczyna podwójności jej natury. „La belle Julie“ na kolacjach marszałka de Bonfort — to typowa kobieta XVIII wieku; Julja, zakopana

w małym zameczku, ubrana w tani suknie, która zostawiła sobie z dawnej wspaniałości tylko cienką bieliznę i stół wykwinny — to kobieta, przypominająca jeszcze dawne czasy.

Życiem przeszłości żyją również jej wychowawcy, pogodni, dobroduszni państwo du Fernay, otoczeni atmosferą konfitur i grający duety na skrzypcach i na szpincie, albo ten Le Mellier, który z wiołą w ręku przychodził do nich wieczorami z sąsiedniego miasteczka... A stary pan Galandot (ojciec) ze swemi sąsiadami i przyjaciółmi cofają nas w czasy jeszcze dawniejsze tworząc jakby okno wybite w powieści Régnier'a na poprzednią epokę, na czasy króla-słońca. To typ wielkiego pana, sługi wielkiego króla, żyjący jedynie pozorami wielkości; bo wielkim i majestatycznym było wówczas wszystko, zacząwszy od ogromnych sal bibliotecznych z mnóstwem poważnych, wspaniałych oprawnych ksiąg zakurzonych, sal, w których co dzień siadywał czas pewien pan hrabia de Galandot, patrząc na zabawy much, fruujących pod sufitem,— a skończywszy na majestatycznych perukach à l'allonge, tak niepodobnych do przypudrowanych peruczek rokoka. Albo też jego sąsiad, cieszący się z tego, że żonę jego zamknięto w klasztorze, gdyż kompromitowała jego imię. Wszyscy ci wielcy panowie, zamiłowani w polowaniu i w jeździe, rozkochani w stajni i psiarni...

Taka jest najbliższa przeszłość, która się jeszcze błąka w powieści; perspektywę zaś przyszłości dają nam skończone akordy dzieła: „Les égarements champêtres“, sztuczny powrót do natury, pola i pasterskie jedwabne ubrania po żabotach i buduarach...

Tego wieku ośmnastego od początku aż do końca, we wszystkich jego fazach, jest powieść Henryka de Régnier świetną epopeją.

Wład.— Cz.



NOTATKI LITERACKIE.

Warto zwrócić uwagę na świeżo wydany katalog wydawniczy księżarni Eugénjusza Diederichsa, w Jenie. Katalog to wyjątkowy, jak wyjątkowym, jeśli nie jedynym w swoim rodzaju księgarzem, jest Diederichs. Omawialiśmy już niejednokrotnie w „Ogniwie“ książki przez Diederichsa wydawane i by-

ły to zawsze książki bezcenne, z których po wieczne czasy ludzie głodni wiedzy i piękna czerpać będą świeżą, bogatą treść. Niczym — lśniące kruże napełnione czystym, dobrym, złotym winem.

Powstała ta księgarnia w r. 1896 we Florencji. „Dla tego — powiada Diederichs — godłem mojej księgarni jest *Marzocco* Donatella, którego nie należy jednak rozumieć w sensie węzła tylko zewnętrznego. Właściwym miejscem urodzenia mojej księgarni jest świątynia Malatesta w Rimini, której artystyczne wnętrza, wyraz światopoglądu humanistycznego, stanowi może najzarliwszy wysiłek w kierunku przekształcenia nauki chrześcijańskiej w kult miłości i piękna. W niszach ścian majestatyczne, uroczyste stoją sarkofagi mężów uczonych, przedstawicieli tego światopoglądu.“

Misja wydawnicza Diederichsa wypowiada się w dwunastu grupach wydawniczych, z których każda jest jakby gałęzią wielkiego drzewa — odrodzenia kultury. Siła i wspaniałość kultury — to jego pierwszy i ostateczny cel. „Żyjemy w wieku — powiada — który znowu widzi swój ideał w wewnętrznym oswobodzeniu człowieka, w jego twórczej indywidualności, odczuwamy znów sztukę jako pokrewną religii; wyraz ideałów społecznych widzimy w warunkach, które zapewnią każdemu człowiekowi rozwój jego osobistych skłonności. Niejedna z książek objętych moim katalogiem szuka świadomie dróg nowej kultury, inne dają rozczynek nowych idei“ (jak, według nas, prace W. Pastora, Kalthoffa — znakomite przekłady dzieł Emersona i Ruskina i t. p.) „wszystkie jednak chcą służyć współczesnemu życiu. Nasz artystyczny i duchowy rozwój

szuka punktów oparcia w tradycji. Nie wystarcza mu już zasłyścić coś niecoś o myślicielach czasów minionych, chce pić u źródła...“

Stąd pierwsza grupa wydawnictw Diederichsa obejmuje kulturę grecką: dzieła *Platona* w przekładzie Kasnera, „*Enneady*“ — *Plotina*, *Epikleta*, „*Encheiridion*“ *Marka Aureliusza* „*Rozmyślenia*“, wybór pism *Seneki*, filozofów z czasów przed Sokratesem, *Ksenofona* „*Memorabilia*“ i cały szereg dzieł prawdziwie klasycznych, traktujących o kulturze helleńskiej, — tak *W. Patera* „*Studja greckie*“, tegoż autora odczyty o *Platonie*, popularne odczyty *Gomperza* „*Die Lebensauffassung der griechischen Philosophen und das Ideal der inneren Freiheit*“ i inne.

Grupa druga zajmuje się kulturą romańską. Czego tu niema. Serce bije żywiej, gdy usta wymawiają nieśmiertelne nazwiska. Korespondencja *Abelarda* i *Heloizy*, „*Fioretti*“ *Franciszka* z *Assyżu*, „*Myśli*“ *Pascala*, zbiorowe pisma *Giordana Bruna*, *Pico della Mirandola* — w wyborze, *Balthazara Castiglione* „*Il cortegiano*“, „*Traktat o malarstwie*“ *Leonarda da Vinci*, dzieło *Pastora* o „*Odrodzeniu*“, *Leonardo da Vinci* wreszcie w przekładzie *Marji Herzfeld* — dzieło wiekopomne, które z oceny znają już czytelnicy „*Ogniwa*“.

Niepodobna nam tu wyszczególniać dzieł objętych wszystkimi dwunastu grupami wydawnictw Diederichsa. Jest grupa zawierająca „*Mistykę niemiecką*“, inna — poświęcona *humanistom niemieckim*, inna jeszcze zajęta *historją i kulturą Niemiec* (Monografie z historii kultury Niemiec wydane przez *Steinhausena*: żołnierz, kupiec, lekarz i sztuka lecznicza, sędzia i prawo, życie dziecka, chłop, uczo-

ny, rzemieślnik, nauczyciel i nauczanie, żydowstwo itd. — każdy tom opracowany przez innego znawcę danego przedmiotu. Są grupy myślicieli klasycznych i romantycznych; jest grupa „*społecznej filozofji kultury*“; grupa „*kultury religijnej*“ — dzieła oryginalne i tłumaczone —; grupa „*kultury estetycznej*“ [*Ruskin*, *Taine*, *Muthesius*, *Kunowski*, *Schultze-Naumburg*, *Kasner*, *Veldheer*, *Batka* i inni]; grupa społeczna (*Bonus* „*Wartość kulturalna szkoły niemieckiej*“), prace agrarne i socjologiczne; wreszcie literatura piękna, reprezentowana przez poetów niemieckich i obcych w znakomitym wyborze.

Nie są to rzeczy, które „*idą*“ i któremi jakakolwiekby reklama zalaćby zdołała rynki księgarskie. Zwolna, bardzo zwolna, wsączać się będzie ten życiodajny sok w umysły czytelników. Ale podjęcie takiego dzieła kultury, dzieła świadomego, obmyślonego i odczutego, jest czynem, który trzeba przyjąć z tą samą wdzięcznością, z jaką przyjmujemy wszelki wielki czyn społeczny. Tu człowiek całą stawkę swoich przywiązań, usiłowań i nadziei włożył w dzieło, któremu służy.

Niejedna myśl nowa, niejednen kłos piękna przyplynał do nas łozyskiem literatury niemieckiej. Nie ulega wątpliwości, że z czasem czerpać będziemy z wydawnictw Diederichsa rzeczy, któremi wzbogacić możemy własną kulturę. Na razie jednak trzeba, aby w duszę księgarzy wniknęła świadomość, że i oni są współtwórcami kultury i że tylko wtedy, gdy postawią sobie najwyższe zadania, sprostają zadaniom koniecznym.

m. g.

FELJETON.

SIC ITUR AD VIRTUTEM!

V.

Idź w gwar życia, na to pole walki nieubłaganej. Dałem Ci na drogę serce, wrażliwe na cierpienie cudze, uzbroidłem Cię w poczucie twojej godności człowieczej; na oblicze twoje położyłem piętno imienne, obdarzyłem cię wielką ambicją. Każdy mój dar był nowym przekleństwem — ze stanowiska zaprzańców ducha, nierządni-

ków imienia i wyznawców użycia. Obarczywszy Ciebie takimi ciężarami na ścieżki życia twego, do nich dorzucę jeszcze brzemie nowe: wyzwolę cię od zasad. Nie lekaj się wyrazów! Jeśli pragniesz być człowiekiem, tj. istotą samej siebie świadomą, miej odwagę wziąć rozbrat z obawą przed wyrazami, temi symbolami - kajdanami, które rodzaj ludzki ukuł własnoręcznie na siebie. Nabieraj przyzwyczajenia spoglądać na rzecz każdą okiem krytycznym i nieuj wartości wszelką, nie po to naturalnie, ażeby znajdować w tym igraszkę dla nerwów swoich — są bowiem i tacy kłowni na świecie —, jeno ażeby miasto ostatnich postrzeżeń wyższe i doskonalsze wartości.

Tak, na walkę życia nie uzbrajam Ciebie w zasady moralności, bo wzamian tego kształtuję porywy jestestwa twego: zamiast frazesu podaję ci wartości inne, rozleglejsze a skuteczniejsze. Wierz mi, ta przerażająca przepaść, która w każdej okazji życia dzieli braci na pokrzywdzonych i krzywdzicieli, «przepaść tak bezbrzeżna jak ocean», utraci może nieco ze swej bezbrzeżności, gdy będziesz kroczył przez odmęty życia, nie mając na usciech wyuczonych recept wyroku, ani w ręku swoich postronków, któremi innych będziesz wiązał kwoli twoich namiętności i upodobań. Frazes czyzy nie będzie nasycił ciebie i nie zagłuszył wołań serca twego.

Przyjrzyj się bowiem, ku czemu służyły i służą kodeksy takich zasad w ręku mężów, którzy zapatrzeni w fetysza-wyraz stali się głusi na wskazówki serca.

...Oto wielki moralista, a właściwie mąż, który w każdej chwili może z zanadru swego wydobyć stosowną receptę. Umie u każdego odróżnić cnotę od niecnoty, to co z tego i to co z tamtego jest brzegu. Ufa, że sam z tego jest brzegu, a więc pełen jest nieubłaganej pieczołowitości o cnotę innych. Na prawo i na lewo feruje wyroki: ten potępion będzie, bo przeniemierzył się kodeksowi cnoty, tamten na pogardę zasłużył, bo zszedł z drogi moralności...

Nie będziesz cnot prorokował z takimi mężami. Ani sądzić będziesz innych, — niedłatego, iżbyś się obawiał, że tobie odmierzą taką samą miarą: takie względy zostaw kupcykom, pojmującym jedynie zasadę frymarku handlowego. Nie będziesz sądził dla innej przyczyny, bo świadom jesteś, iż instancje obowiązku są aż nazbyt często w ręku moralisty postronkami, któremi pęta ofiarę swoją, ażeby ta pozwoliła się rozłożyć na stole ofiarniczym i wysławiała tam oprawcę swego. Gdy ujrzyś kaznodzieję takiego, kładącego rzeszy ludzkiej do ucha różną cnotę, poszukuj śmiałym okiem ofiary jego. Ty nie pętaj mózgow ludzkich zasadami, które zamienić je winny w gromadę niewolników twojej chuci albo interesu twego, ani nie nakładaj na oczy swoje bielma, albowiem sprawi ono, iż ludzi jako bydło traktować będziesz. I niecnotliwym pozwól istnieć, byleby innych nie pozbawiali promieni tego słońca, które nas wszystkim jest wspólnym dobrem. Powstrzymaj każdą rękę, której kurcz krzywdę zwiastuje komuś, odsłoń każdy fałsz, w którym ukrywa się zamach na szczęście cudze, ale — ale prawości czynów twoich, czystości myśli swoich nie brukaj kwasem Faryzeuszów, to znaczy: frazesem czcym o cnotcie, a z wyrazów o obowiązku nie czyni pęt, któremi innych wiązać będziesz w imię wołu twego i osła twego.

...Oto inny towarzysz cnotliwego znaku. Cokolwiek zdziałał, zawsze czynił w imię zasad moralności. Nigdy nie zapragnął krzywdy niczyjej, jeno wymierzał sprawiedliwość, ani dopuścił się podłości, gdyż zawżdy stosował jedynie zasady moralności... Droga jego wije się w gwarnej pustyni życia widocznym szlakiem: na każdym zakręcie strzela w górę nowy ołtarz, gdzie w ofierze składał cnotcie całopalenia, na każdym przystanku

stoi drogowskaz, a na nim mąż cnotliwy umieścił nowe tablice z przykazaniami. A w podróży po tej drodze

...Czyli szedł wstępny bojem, czy się cicho skradął,
Zawsze się wytłumaczył... a owce pozja-
[da!...

Wierz mi, w obliczu takich samodrzęzcicieli trwoga zdejmuje mnie. Widok ich wskrzesza w mojej wyobraźni nie zastępy biczowników, którzy krwią własną oblewali gościniec, ale najpośledniejszej miary Tartuffe'ów. Ty nie będziesz miał na pogotowiu trybunału, w którym sam zasiadłbyś jako jedyny sędzia, ażeby ferować wyroki i ich dopełniać — nad samym sobą. Rozważ dobrze, co ci niosę w darze! Albowiem nie roztaczam przed namiętnościami twego ciała swobody, jeno na nie nakładam pęta — nieubłagane a krzepkie. Nie zagłuszysz swego sumienia frazesem: ich bin eine blonde, — przepraszam: chciałem rzec — eine morale Bestie, ale będziesz musiał wejść w siebie samego, wczuć się w cierpienia innych. Gotowe zasady nie zaćmią ci pobudki czynów twoich. Zaprzestaniesz chadzać w ciemnościach, ani poszukiwać będziesz prawości w napisach na drogowskazach. W siebie samego wzrok zanurzysz i po każdym postępku będziesz nicował wartości swoje.

Bierz śmiało rozbrat z tablicami zasad „zależnych“ i „niezależnych“, ze wszystkimi trybunałami, w których sam wyszukujesz stosownej recepty w kodeksie, ażeby cnoty powołać na usta swoje. Takie tablice są dobre zaledwie dla tych, którzy w duchu swoim nie pielęgnują ambitnego zamiaru dorosnąć do poziomu człowieczeństwa. Ty zaś albo jesteś albo być pragniesz człowiekiem. Wierz mi, bez kodeksów znajdziesz drogę swoją, bylebyś miał serce wrażliwe i ćwiczył je nieustannie, ale bez takiego serca zasady, nawet na spiżu wyrte, nie uspołecznia ciebie. Będziesz balwochwałą tablic, pełnym kwasu faryzeuszowskiego...

Rzekłem: „gdy wyćwiczysz serce swoje, mogę cię zwolnić od pęt obowiązku!“ Tym samym pozbawiam cię prawa zasiadania w trybunale, w którym sam o sobie będziesz ferował, a nadto odbieram z rąk twoich postronki, któremi innych zapragnąłbyś wiązać, jeśli cheiwość cię zdejmie, aby twoim był wół albo osioł. Wzamięniam zasady obdarzam cię sercem. A twoja droga, ciężka i ciernista, najeży się jeszcze nowemi głogami: nie

zaprężesz na niej nikogo do posługi swojej hasłami obowiązku, nie będziesz miał nawet na usciech frazesów, któremi innych w imię swoje pętałbyś, a pozbawiony własnego trybunału, będziesz wglądał w sumienie swoje i skruczę świadczył czynom swoim. Na tę podróż błogosławię cię wyrzutami twego nieuspięnego sumienia, świadomością chuci twoich i każdego pożądania twego, całą mocą odczuwanych grzechów... I będziesz się wił, bracie mój, w objęciach tego wyzwolenia, jak miota się jastrząb, gdy mu ze szponów wyrwał się gołąb...

Ludwik Krzywicki.



W SPRAWIE towarzystw ochrony kobiet.

Mamy w Warszawie już dwa towarzystwa ochrony kobiet, warto się tedy zastanowić nad rezultatami, jakich się po nich możemy spodziewać.

Istnieje pewne praktyczne doświadczenie, zebrane w krajach, posiadających odpowiednie organizacje, lecz nie tym się zająć pragniemy, a danemi, jakie przepowiedzieć można z góry na zasadzie założeń, które dały powód do utworzenia towarzystw ochrony kobiet.

Gdy przyjrzymy się okropnym i licznym ofiarom nierządu, nie możemy nie doznawać bolesnych wzruszeń i nie pragnąć usunięcia lub przynajmniej zmniejszenia ogromu nieszczęścia.

W morzu łez, jakie czulsze osoby podobno wylewają z powodu istnienia nierządu, dopatrzeć się można dwu źródeł. Jedno — najszersze, najgłębiej pojęte — to poszanowanie godności ludzkiej, deptanie cześci jednostki, drugim jest walka już nie z chorobą społeczną w znaczeniu najszerszym, lecz w węższym, w znaczeniu wojny ze źródłem chorób w pojęciu lekarskim.

W dzisiejszych warunkach społecznych mężczyzna, pięścią swą gniecie słabszą kobietę na wszelkiej arenie swego życia. On ją zniesławia, on czyni z niej ofiarę nierządu i śmie ją potem nazywać nierządnicą. Gdy powstają żywe świadectwa luźnych związków, pada piętno na nie oraz na nieszczęśliwą ich matkę; ojciec, dorywczy mąż, cieszy się najlepszą opinią, ba, prawi niekiedy morały nieszczęśliwym dzieciom — matkom i dzieciom tych dziewczyn, ogranicza nawet ich prawa cywilne.

Niekiedy kobiety, znajdujące się w lepszych warunkach do ofiar nieszczęśliwych, pragną przyjść im z pomocą, czasem budzi się sumienie w mężczyznach i oni również pragną ratować ofiary. W ten sposób tworzą się towarzystwa ochrony kobiet. Śmiesznym jest, że przy powstawaniu podobnych towarzystw poza krajem byli tacy, którzy żądali od apostołów oczyszczenia kobiet, by sami byli nieskazitelni. Dla sprawy jest to zupełnie obojętne. Nie wolno wydrwiwać członków towarzystwa antialkoholików nawet wówczas, gdy samicy członkowie są pijani: mogą oni już być niezdolnymi do walki ze swymi namiętnościami, lecz mogą uznawać olbrzymią szkodę alkoholu i wstrętnym swym pijackim obliczem innych od alkoholu odstraszać. Pomijając tę, zupełnie niesłusznie podsuwaną stronę kwestji, przyjrzyjmy się, na czym polega ohyda nierządu.

Żyjąc, człowiek usiłuje swe życie utrwalić. Usuwa on ze siebie niepotrzebne mu części przemiany materji, zaopatruje się w nowe zapasy, służące do odbudowania cząstek zniszczonych, unika zgubnych wpływów zewnętrznych, walczy z niemi, szuka podniet, najbardziej sprzyjających prawidłowej czynności narządów, a mając dla wszystkich swych narządów pewien kres ostateczny, stwarza nowe ich skupienia w postaci potomstwa. W tym krótkim przeglądzie tkwi cała fizjologia życia ludzkiego i to fizjologia, najszerszej pojęta, bo w zakresie również czynności duchowych człowieka, jego dążeń na najwyższe szczyty wiedzy i sztuki, bo rozkosz estetyczna, rozkosz umysłowa jest zaspokojeniem potrzeb zmysłów naszych, mózgu naszego. Sprowadzenie na świat naszych następców nie jest w zupełności rozkoszą. Biedna Ewa musi je rodzić w bólach i miesiące całe przeboleć, nim dzieci swe na świecie ujrzy, później w małej częstej wspólnocie z mężem, jeśli oficjalnie zdołała się w niego zaopatrzyć, dużo musi przecierpieć, nim potomstwo to może żyć samodzielnie na podobieństwo szlachetnych swych przodków. I nigdy możeby nie powstało potomstwo, gdyby nie było innych podniet do ich stwarzania, prócz zimnej myśli, często obłudnie wypowiedanej, że musimy mieć dzieci, by mieć dla kogo zostawić rezultaty naszej pracy.

Ową podnietą jest wrodzony pociąg jednej płci do drugiej, ów zespół rozlicznych czynników natury fizjologicznej w najszerszym znaczeniu, bo łącznie z całą sumą

czynników psychicznych. Czynności wyższych tworów są bardzo złożone i dla tego trudno sobie o nich wyrobić pojęcie bez przejrzenia podobnych funkcji tworów niższych. U istot jednokomórkowych niema różniczkowanych czynności, niema tedy płci: nowy twór powstaje przez prosty podział pierwotnej, rozrosłej komórki. W potomstwie pozostaje rodzic całkowicie. W miarę rozwoju wyższych gatunków zjawia się różna płeć. Lecz nigdy nie ginie w wyższych tworach ślad, że powstały one z niższych; zawsze pozostaje u wyższych istot owo dążenie do powrotu do dwupłciowej, tym razem dwuosobowej jednostki. To dążenie jest pociągiem wzajemnym dwojga płci.

Pociąg ten ma rozmaite formy zewnętrzne od czysto fizycznych aż do objawów czystego ducha, do gotowości poświęcenia się za drugą osobę, do oddania za nią życia. Forma fizyczna i duchowa splatają się wzajemnie i jedna oddziaływa na drugą. Wyraz jej duchowy objawia się w łańcuchu roślin i zwierząt — zapachem róż, lśnięciami barwami motyli, trelami słowika i znajduje swój zenit w sonetach poetyckich i pieśniach muzycznych.

Dla wielu jednak nie jest rzeczą wesołą, że czasami w dziewięć miesięcy po romansie Rubinsteina muszą śpiewać kołysankę Wieniawskiego, a smutek na licach wyciska nędzny stan ich kieszeni lub trudności wychowania potomstwa nawet przy dobrym materialnym stanie rodziców. Nie mogąc mieć miłości, tacy ludzie pragną się zadowolić jej surogatami. Zjawiają się w naszych warunkach społecznych związki nielegalne i to w najszerszym znaczeniu tego słowa, bo nielegalnym nazwiemy związek, w którym rozcięto splot wszystkich czynników, składających się na ciążenie wzajemne dwojga płci. Nielegalnym jest nie tylko związek wyłącznie fizjologiczny, krótkoterminowy, lecz i długoterminowy, nie tylko związek fizyczny lecz i wyjście za mąż za osobę jedynie dla tego, że ona jest dobrze postawiona materialnie lub zajmuje znaczne stanowisko w jakiegokolwiek hierarchji, jako żeżnienie się z kobietą wyłącznie dla jej posagu. Różnicy w tych związkach jakościowej znaleźć nie możemy, jest ona tylko ilościową. W naszym ustroju fałszywie obzucamy błotem tylko cząstkę źle postępujących istot, cząstkę wydziedziczoną, cząstkę biedniejszą.

Rady na to przy obecnych warunkach nie mamy. W przyszłości zmieni się chyba całokształt wzajemnych stosunków obu płci, upad-

nie forma małżeństwa z wszystkimi jej następstwami, jako to prywatnym wychowywaniem dzieci. Obok nowych form społecznych powstanie nowa etyka, inne pojęcie o moralności. Do owej chwili, póki nie będzie środków radykalnych, szukamy leków paljatywnych, próbujemy usunąć kłującą nas w oczy prostytucję biedną, jak usiłujemy usunąć nieprzyjemny dla nas widok żebraków ulicznych. W pewnej mierze leki te mają swe znaczenie. Bieda części społeczeństwa żyją pewne pasorzyty, zjawiają się handlarze ponętnej zwierzyny. Owe twory naszych warunków ekonomicznych często starają się usidlić biedne ofiary, któreby może same nie weszły na straszne tory. Takie ofiary może czasami wyratować towarzystwo ochrony kobiet.

I nie tylko tyle jest ono w stanie uczynić. Swym istnieniem dowodzi ono, że źle się dzieje na świecie, jest ono protestem przeciw istniejącemu stanowi rzeczy, jest ono dowodem żywym, że albo małżeństwo nie jest instytucją ostateczną w rozwoju instytucji wzajemnych dla płci, albo że dużo uczynić należy dla oczyszczenia formy małżeńskiej od wielu jej stron ujemnych.

O ile działać będzie w granicach swej możliwości, będzie ono protestem przeciw wyzyskowi kobiet przez mężczyzn. Jeśli nie jest w możliwości usunięcia nierządu, wskaże ono, że mężczyźni powinni okiełznać swe namiętności, bo, co do kobiet, to sama natura postarała się o to, by swe namiętności trzymały na wodzy.

W tym zakresie dużą usługę okazać mogą osoby, mające styczność z młodzieżą, zwłaszcza pedagogowie i lekarze. Ci zwłaszcza niekiedy zupełnie bezzasadnie nie hamują popędów młodocianych swoich pacjentów. Wychodzą oni z założenia, że wszystkie funkcje ludzkie powinny być zaspokajane. Wygląda to pozornie na prawdę, lecz jeśli zauważymy, że niektóre potrzeby pewnych czynności mogą być zmniejszane przez czynności innej kategorii, że potrzeby płciowe znakomicie się zmniejszają przy kierowaniu do pracy naszego ducha, mają oni znakomity sposób do skierowania życiowej energii młodzieży na tory bardziej społecznie pożyteczne. Tą drogą mogą oni przyczynić się do zmniejszenia ilości takich wydziedziczonych i ofiar wielu chorób okropnych.

Na taki środek czasowy musimy się godzić.

Towarzystwa ochrony kobiet mają tedy rację bytu przy obecnych

warunkach społecznych i sanatoria ich z radością witamy, póki nie znajdziemy radykalnego środka do walki ze złem społecznym.

Dr. Maksymilian Biro.



Hannibal ante portas!

(Dokończenie).

Kujalnicka opieka sanitarna (w Odesie) tak dalece rozwinęła swą czujność i rozszerzyła zakres działalności, że nawet zajęła się sprawą uregulowania handlu spożywczego na letniskach. Wogóle w zakresie obowiązków opiekunów sanitarnych wchodzi: czuwanie nad wykonaniem postanowień obowiązujących i przepisów, dotyczących ochrony zdrowia powszechnego; śledzenie wybuchu i rozwoju chorób zaraźliwych, przeciwdziałanie i zapobieganie im; zbadanie warunków życia i bytu ludności, szkodliwie oddziałujących na zdrowie.

W ten sposób przygotowuje się grunt dla skutecznej walki ze złem.

Równoległe z pracą opieki zdrowotnej idą także zadania tak zwanych lekarzy sanitarnych. Ci jednak są urzędnikami służby miejskiej i przy samorządnej organizacji tylko w niektórych wypadkach zastępują oni prezesów, powołanych z wyboru przez ludność, albo wreszcie jeżeli ich sama opieka sanitarna wybiera, jako wyrazicielka potrzeb i interesów ludności.

P. Stawrowski w „Ruskiej Myśli“ formułuje w następujący sposób warunki i zadania organizacji zdrowotnej: 1) Uzdrowotnienie miast celem ochrony zdrowia ludności miejskiej, jako jedno z najważniejszych zadań w zakresie urzędów społecznych życia miejskiego, może być pomyślnie dokonane tylko przy bezpośrednim i czynnym udziale sił społecznych,— na zasadach decentralizacji. 2) Organizacja miejscowych sił społecznych w tym zakresie zależy od rewirów opieki zdrowotnej. 3) Kuratorja sanitarne, obeznane z potrzebami swoich rewirów, dążą do usunięcia warunków szkodliwie oddziałujących na zdrowie ludności, proponują środki, wyzyskują sposoby polepszenia ogólnych warunków zdrowotnych życia miejskiego. 4) Jako organy zbiorowe, niosące z całą świadomością pomoc społeczną, odgrywają rolę uzdrawiaczy społeczeństwa. 5) Lekarze sanitarni, jako członkowie owych kuratorjów, są najbliższymi kierownikami w za-

kresie praktycznej działalności lekarsko-sanitarnej w miastach. Zadania ich są szerokie, jak np. rozstrzyganie różnorodnych zawiłych spraw, jak np. z dziedziny etjologii chorób, wyszukiwanie środków zapobiegania wzrostowi zachorowań itd. 6) Lekarze sanitarni, jako organizatorowie i kierownicy działalności praktycznej kuratorjów sanitarnych i jako czynni działacze społeczni w sprawach uzdrowotnienia ludności miejskiej mają w rzeczywistości wszystkie prawa kuratorów sanitarnych, z których korzystać mogą i *de jure*, na zasadzie przepisów w życiu praktycznym zastępując prezesów rewirowych kuratorjów sanitarnych w razie ich braku, lub też z wyboru samych kuratorjów.

W takiej formie istnieje obecnie organizacja zdrowotna w cesarstwie, która czuwa nad naprawą warunków sanitarnych tudzież dąży do zapobiegania chorobom zaraźliwym, do usunięcia ich. Organizacje te, jak widzieliśmy, są bardzo nieliczne i dopiero teraz w wielu miastach mówią o potrzebie ich wprowadzenia. Ale od słów do czynu można jeszcze bardzo długo czekać.

Otóż, myśląc o zabezpieczeniu naszej ludności od możliwej cholery, powinniśmy jednocześnie mieć ciągłą czujność nad tym, co się robi w cesarstwie pod tym względem a nawet pośrednio powinniśmy wpływać na zwiększenie czujności poza granicami Królestwa Polskiego. U nas, jak wiadomo, najodpowiedniejszym organem samopomocy społecznej w tej dziedzinie mogłoby być niewątpliwie Towarzystwo Higieniczne. Dotąd jednak, niestety, prawie nie wychodzi ono poza obręb działalności teoretycznej. Byłoby rzeczą wielce pożądaną, ażeby ta instytucja zechciała wyzyskać to wszystko, co dotąd zrobiły istniejące w cesarstwie rewirowe kuratorja sanitarne, przynajmniej specjalnie w kierunku zapobiegania wtargnięciu cholery do nas. A więc byłoby dobrze staraniem Towarzystwa opracować i wydać przystępne dla nas książeczki na temat: jak zapobiegać cholercie. W książeczkach tych należy wskazać ludności, że niechlujstwo, brud są sprzymierzeńcami cholery i innych chorób zaraźliwych. Poza tym trzeba podać szczegółowe przepisy, jak się należy zachowywać, ażeby uniknąć wprowadzenia zarazków cholerycznych do organizmu; wreszcie do jakich środków ratunkowych trzeba się uciekać na razie, jeżeli niema lekarza w pobliżu.

Z drugiej strony Towarzystwo Higieniczne powinno oddziaływać na zarządy miejskie, na gospodarzy miasteczek i osad, na zarządy gminne, ażeby rozwinęły czynność, dążyły do usunięcia nagromadzonych brudów, nawozu, do zabrukowania ulic, ażeby zmuszały gospodarzy do utrzymywania w czystości i porządku domów, przyczem należy stanowczo skasować mieszkania niezdatne do użytku dla ludzi.

Wogóle Towarzystwo Higieniczne powinno pośrednio lub bezpośrednio wpływać na to, ażeby miasta, miasteczka, osady wzięły się energicznie do usunięcia wszystkiego co stanowi niebezpieczeństwo dla zdrowia ludności, a więc, uprzykrzać pod tym względem targi, handel sklepowy i sklepikarski, rzeźnię, handel obnośny i miejscowy w dziale produkcji spożywczych.

Ponieważ wielkim i silnym sprzymierzeńcem chorób zaraźliwych jest nędza, a ta więcej niż kiedykolwiek rozszerzyła obecnie i rozszerzać będzie swoje panowanie, więc byłoby rzeczą wielce pożądaną nie gardzić w tych wyjątkowych wypadkach nawet najślabszemi, najdoraźniejszymi paljatywami, lecz wyzyskać wszystko, co się tylko da w tej mierze. Przedewszystkiem zaś Towarzystwo Higieniczne powinno wejść w porozumienie ze wszystkimi instytucjami dobroczynnymi w kraju i zaprosić je do współdziałania, do zarządzenia w razie cholery tanich i zdrowych jadłodziń, do zorganizowania swego rodzaju drużyn ocbotnicznych, oddziałów lotnych, które dopomagałyby ludności ubogiej do urzędzenia, zachowania w należytej czystości mieszkań, szkółek elementarnych, chederów itd.

W tej rozgałęzionej po całym kraju działalności higienicznej niezmiernie ważne znaczenie miałyby urządzenie studni z czystą wodą, zdatną do picia a skasowanie niezdatnych. Nie zapomnijmy, że jest to sprawa niezbyt łatwa nie tylko ze względu na koszty, ale nawet—formalności różne. Niedawno czytaliśmy w pismach charakterystyczne dzieje jednej takiej studni w Lubelskim. Jeszcze podczas cholery poprzedniej stwierdzono, iż pewna wieś posiada studnię ciekącą, stanowczo niezdatną nietylko dla ludzi, ale dla najoporniejszych zwierząt. Otóż właściciel ziemski postarał się o fundusz na nową studnię i poczynił starania, ażeby ją możliwie najprędzej zrobiono. Na nic jednak poszły dobre chęci i zabiegi! Władza powiatowa dopiero w parę lat potem wydała po-

zwolenie na studnię. Wypadek ten, niezbyt dawny, oile sobie przypominamy, był opisany w „Warsz. Dniew.” i powtórzony w pismach polskich. Szczegół ten, na pozór drobny, ma obecnie doniosłe znaczenie. Jest on cenną wskazówką, że należy przede wszystkim na drodze właściwej wyjednać jakiś przepis, stanowczo usuwający wszelką formalistykę w tej mierze, zależność od sieci kancelaryjnej tak ważnego działu gospodarczo-zdrowotnego, jak zaopatrzenie ludności w zdrową wodę.

Mobilizując środki zapobiegawcze, dobrze byłoby zajrzeć w niezbyt daleką przeszłość i uprzytomnić sobie szczegółowo, co u nas robiono w kraju dla przeciwdziałania cholery przed jedenastu laty. Nie mieliśmy wtedy jeszcze Towarzystwa Higienicznego; cała zaś organizacja sanitarno-lekarska i obywatelska była dorywcza, tymczasowa. Dziś bądźco bądź, dzięki nowej organizacji, stosunki nieco się zmieniły. Towarzystwo Higieniczne, w którym może brać udział nie tylko facho-

wiec, tj. lekarz, lecz każdy człowiek inteligentny, posiadający dobrą wolę i chęć do pracy społecznej,—jest organem, nadającym już pewną powagę i ciągłość pracy na polu zdrowotnym. Instytucja ta ma już swoje filje w kraju, co także posiada doniosłe znaczenie. Dzięki więc temu ognisku higienicznemu, samopomoc społeczna, mająca na celu niedopuszczenie cholery do kraju lub jej zwalczanie,—może dziś być o wiele szerszą i skuteczniejszą. Trzeba ją tylko powołać zawnazę i energicznie.

Jest jeszcze jedna, czysto ekonomiczna strona tej sprawy, na którą należałoby zwrócić szczegółową uwagę. Jak wiadomo, dwa lata niepowodzeń w rolnictwie naszego kraju przyczyniły się do wzmożenia przywozu niektórych produktów spożywczych i paszy z Cesarstwa do Królestwa Polskiego. Otóż konieczną jest rzeczą zwrócić bacność na to, czy owe produkty nie przychodzą lub nie będą przychodziły z miejsc dotkniętych chole-

ry. W takim razie, po należytym sprawdzeniu, że jest tak istotnie, należałoby albo przerwać dowóz zupełnie, albo też poddać go starannej opiece sanitarnej.

Wreszcie, rzeczą jest wielce pożądaną, ażeby nasze Towarzystwo higieniczne rozeszło do gubernjalnych zarządów ziemskich i innych odpowiednich instytucji w Cesarstwie odezwę z prośbą o wskazanie, co się robi w danej miejscowości lub dzielnicy dla zapobieżenia wtargnięciu lub rozwojowi cholery. Dane tą drogą zdobyte miałyby same przez się wartość jako cenne wskazówki; a zarazem cała odezwa urzędowa Towarzystwa Higienicznego jużby wywołała pewną czynność odpowiednich instytucji w Cesarstwie i w pewnym stopniu przyczyniła się do przyspieszenia środków zapobiegawczych.

Bierzmy się więc do dzieła niezwłocznie i energicznie, stwórzmy możliwie najszerszą w tym zakresie samopomoc społeczną, bo — *Hannibal ante portas!* Zen. Piet.

KOESPONDENCJE.

Listy z Galieji.

Kraków, 21 grudnia.

Dziwne rzeczy dzieją się w naszym mieście... Okrzyczany jako siedlisko klerykalizmu, stary gród podwawelski coraz więcej składa dowodów, że czasy panowania fanatyków klerykalizmu minęły w nim bezpowrotnie. Kiedy Lwów—to tradycyjne ognisko liberalizmu drobnomieszczańskiego i drobnomieszczańskiej wolnomyślności wysadził się na niesłychanie uroczyście i wspaniale obchód marjański, w którym wzięło udział wszystko, co rości sobie prawo do reprezentowania mieszczaństwa, w Krakowie obchód ten przedstawiał się nad wyraz mizernie, a jego aranżerowie narazili się nawet na protesty ze strony całego szeregu instytucji. „Uniwersytet ludowy”, miejska kasa chorych, stowarzyszenie drukarzy, czytelnia dla kobiet zaprotestowały przeciwko umieszczeniu tych stowarzyszeń w spisie instytucji, rzekomo mających wziąć udział w pochodzie klerykalnym. Zaprotestowała młodzież na wiecu akademickim, zaprotestowano i w radzie miejskiej ku wielkiemu zgorzeleniu klerykalno - antysemitckiego „Głosu Narodu“.

Walka z klerykalizmem stopniowo podkopuje i prowincjonalne jej twierdze. Tak w Tarnowie—w jednym z najsilniejszych siedlisk kleru wojującego,—powstaje i rozwija się bardzo pięknie organizacja antyklerykalna. W Przemyślu, gdzie nadzwyczaj gorliwą działalność klerykalną rozwija biskup Pełczar wraz z burmistrzem Dolińskim, wybrany przy poparciu kahału, odbyło się w tych dniach imponujące zgromadzenie ludowe, mające zaznaczyć stanowisko miejskich mas ludowych wobec klerykalizmu.

Robotnicy zgromadzili się w imponującej liczbie, przyszło też paru przywódców klerykalnych, w tej liczbie infułat ks. Federkiewicz, przewodniczący stowarzyszenia „Przyjaźń”, które i w Przemyślu, tak samo jak i w innych miastach galicyjskich, istnieje z braku członków na papierze. Jako referent wystąpił znany działacz miejscowy p. Schiffler, który w ciętych słowach przedstawił obłudę klerykałów, scharakteryzował ich stanowisko w sprawach politycznych, ekonomicznych i narodowych, sprzeczne z interesami ludu i wykazał licznymi przykładami, co za żywioły garną się pod sztandar klerykalizmu i do stowarzyszeń klerykalnych. Po p. Schifflerze zażądał głosu ks. Federkiewicz, widocznie licząc na to, że mu przewodniczący wrogiego zgromadzenia głosu nie udzieli i że w ten sposób można będzie się następnie przedstawić w roli sterory-

zowanej ofiary. Tymczasem przewodniczący, pomimo że do głosu był zapisany pierwotnie kto inny, nie tylko udzielił Federkiewiczowi głosu, ale wezwał zgromadzonych, aby mu nie przerywali. Ks. Federkiewicz strapił się niepomalu i naiwnie wyraził zdziwienie, że mu udzielono głosu i że zebrani pozwalają mu mówić. Widać też było, iż nie przygotował się do mowy, którą następnie mówcy zbili punkt po punkcie. Zgromadzenie zakończono uchwaleniem rezolucji następującej: „Protestując nie przeciw religii, lecz przeciw klerykalizmowi, wdzierającemu się w każdą sferę życia, przeciw klerykalizmowi, szerzącemu ciemnotę, nieuctwo, waśń religijną, który pod płaszczykiem religijny dąży do opanowania życia prywatnego jednostek i rodziny, życia narodów i społeczeństw; przeciw klerykalizmowi, którego ideałem nie życie religijne i zbawienie dusz, ale panowanie nad każdym i nad wszystkim; protestując jak najenergiczniej przeciw enuncjacji ks. biskupa Pełczara w sprawie wychowania szkolnego; przeciw oświadczeniu reprezentanta duchowieństwa w sprawie rady szkolnej, wygłoszonemu podczas ostatniej sesji sejmowej—zebrani postanawiają zespolić wszystkie swe siły, aby zdusić hydrę klerykalizmu, aby bronić szkoły nowożytnej przed grożącym jej zamachem ze strony klerykalizmu i walczyć w jej obronie jak długo tylko sił starczy.“

Równoległe z walką polityczną, tożoną przeciwko klerikalizmowi przez organizację robotniczą, prowadzona jest szeroko akcja kulturalna, podważająca wpływy klerikalne wśród mas. Najwydatniejszą jest działalność „Uniwersytetu ludowego im. A. Mickiewicza“, którego członkowie i delegaci z całej Galicji zjechali się niedawno w Krakowie na walne zebranie. Sprawozdanie z działalności tej instytucji za czas od 1 czerwca 1903 do 1 października 1904 r. zawiera dane, świadczące o coraz to bardziej owocnej pracy największego w Galicji prywatnego przedsięwzięcia oświatowego.

Sam zarząd główny urządził w roku sprawozdawczym 65 wykładów z ogólną liczbą słuchaczy 7,669. Na jednym wykładzie było przeciętnie po 117 osób. Oddział borysławski, pracujący w jednym z największych ognisk przemysłowych, urządził 8 wykładów z udziałem 920 słuchaczy, przy czym robotnicy stanowili 96,3% słuchaczy. Oddział gorlicki miał tu 6 wykładów z udziałem 585 osób. Najintensywniej pracował oddział krakowski, który urządził wykłady trzech typów: publiczne (5 razy tygodniowo, słuchaczy 23,493, wykładów 132), po stowarzyszeniach robotniczych (słuchaczy 4,821, wykładów 76); dla dzieci i młodzieży (słuchaczy 980, pogadanek 35). W ten sposób oddział krakowski urządził razem 243 wykłady z udziałem 29,294 słuchaczy. Oddział lwowski już ustępuje krakowskiemu tak pod względem ilości wykładów, jak i słuchaczy. Tych ostatnich miał 2,615 (80,3% robotników), wykładów zaś urządził 71. Po Lwowie najbliższe miejsce zajmują: Zakopane, Schodnica, Sambor i Przemyśl. Suma wykładów we wszystkich oddziałach wynosi 488. Pod względem treści rozpadają się one na następujące działy: 194 wykładów z nauk przyrodniczych i higieny, 110 z geografii, 70 z nauk społecznych i politycznych, 68 z literatury i sztuki, 21 z filozofii, 18 z historii kultury, 7 z nauki o wychowaniu. Oprócz tych wykładów odbyło się jeszcze 7 wykładów agitacyjnych w różnych miejscowościach kraju w celu zapoznania słuchaczy z działalnością i zadaniami „Uniwersytetów ludowych“ wogóle, a galicyjskiego w szczególności. Ilość słuchaczy we wszystkich oddziałach wzrosła do 47,336.

Większość słuchaczy stanowiła klasa robotnicza i ludność miejska. Pod tym względem zaznaczył się znaczny postęp. Nawet Kraków,

który do niedawna wykazywał przewagę wśród słuchaczy inteligencji, obecnie ma słuchaczy robotników 65,3%. Tylko w Samborze robotnicy wcale nie uczęszczali na wykłady. Natomiast oddziały lwowski i przemyski ograniczyły swą pracę do systematycznych wykładów po stowarzyszeniach robotniczych.

Ponieważ oddział krakowski wysunął się na czoło wszystkich oddziałów, przeto Kraków uczyniono siedzibą stowarzyszenia. Z wniosków uchwalonych na zjeździe delegatów należy wymienić dotyczące budowy domów ludowych, założenia biblioteki centralnej przy zarządzie głównym, zorganizowania wędrowniej biblioteki, urządzania „misji“ po wsiach i utworzenia specjalnego organu Towarzystwa.

—ski.



O PRAWDE.

I.

Paryż, d. 9 grudnia 1904 r.

Szanowny Redaktorze!

Znając bezstronność „Ogniwa“ i sądząc, że Redakcja usilnie się stara o dokładne zapoznanie swych czytelników z ruchem społecznym, zwracam się do niej ze sprostowaniem zamieszczonego w № 48 dopisku w korespondencji z Paryża.

1) Nieprawdą jest, ażeby kiedykolwiek—nawet przed 15 laty—„deputowani“ używali pomieszczenia Gieldy pracy jako bezpłatnych numerów hotelowych, dokąd sprowadzali przyjaciółki z ulicy.“ Przeciwnicy Gieldy pracy i syndykatów robotniczych mogli opowiadać p. Meta tego rodzaju anegdoty, ale niezrozumiałym jest, jak można na zasadzie opowiadań, a raczej plotek, rzucać potwarze na poważne instytucje robotnicze.

2) Nieprawdą jest, ażeby p. Meta „gdy zaszedł po informacje do niektórych sekretarzy, znalazł drzwi *occupata*“ (czyt. z powodu znajdowania się tam przyjaciółek). Drzwi bowiem sekretarzy są zawsze otworem dla robotników i ludzi sprzyjających obecnemu francuskiemu ruchowi robotniczemu. Zamknięte są one tylko przed reporterami, którzy nie chcą poznać ruchu na zasadzie sprawozdań z kongresów robotniczych, broszur, tygodnika „La Voix du Peuple“ i zebrań robotniczych, ale chcą wydawać sądy na podstawie kilkuminutowych interview'ów lub zasłyszanych gdzieś gawęd.

3) Nieprawdą jest, ażeby „członkowie związków zawodowych w sekretarzu nie szukali pracy ani sumienności—jeno *moonej gęby*“. Jest to niczym nieuzasadniona potwarz, rzucona na dziesiątki tysięcy uświadomionych robotników. Kto tylko przypatrzył się zbliska działalności sekretarzy gield

pracy i związków robotniczych w Paryżu, jak Yvetot, Griffuelhes, Latapie, Bousquet, Beausoleil, Delesalle itd, ten musi uznać ich wielką pracowitość, energję, odwagę i bezinteresowność. Wszak oni nigdy nie stawiają swej kandydatury ani do rady miejskiej, ani do Izby, ani nawet do Rad pracy. Wszak oni nie przyjęliby nigdy jakiegos odznaczenia np. w postaci czerwonej wstążeczki legji honorowej. Przed niemi niemal wszystkie warsztaty i fabryki zamknięte. Coraz im wytaczają nowe sprawy sądowe za przekroczenie wolności prasy i słowa, a ze spraw tych nie często wychodzą zwycięsko.

Badając od lat 13-u ruch robotniczy francuski i znając oddawna osobiście sekretarzy związków zawodowych i Gieldy pracy,—z oburzeniem i smutkiem czytałem insynuacje pana Meta w „Ogniwie“. W najreakcyjniejszych organach prasy francuskiej nie zdarzyło mi się spotkać podobnych potwarzy.

Zamiast szczegółowego sprawozdania z wielkiego francuskiego kongresu robotniczego, który we wrześniu r. b. w Bourges ściągnął 400 delegatów reprezentujących przeszło 1,200 organizacji robotniczych, a który zwrócił na siebie uwagę niemal całego świata cywilizowanego,—czytelnik „Ogniwa“, żądny wiadomości z ruchu społecznego zagranicą, dowiaduje się, że Paryska Gielda prasy jest domem rozpusty, domem schadzek deputowanych z ulicznicami, a sekretarze gieldy, wybrani przez delegatów uświadomionych organizacji robotniczych,—to tylko ludzie *moonej gęby!*

Racz przyjąć, Szanowny Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku

Dr. Józef Zieliński.

II.

W odpowiedzi na uwagi d-ra Zielińskiego czynię następujące zastrzeżenia:

1) Artykuł mój poświęcony był *mutualizmowi* i zrobiłem uwagę, że w sprawach administracyjnych „głosowanie powszechne“ nie zawsze daje rezultaty najlepsze, w dowód czego, w notatce, mającej kilka wierszy, przytoczyłem *fakt* z życia Gieldy pracy w Paryżu, pomimo, że nie widzę nawet innego wyjścia jak głosowania przy wyborze kierowników.

2) Dr. Zieliński mówi, że *fakt* ten nie miał miejsca, to jest, że nie byłem w Gieldzie pracy i nie zastałem drzwi zamkniętych, a jeżeli je zastałem zamknięte, to dla tego, że jestem reporterem, który nie chce czytać „La voix du peuple“. Również nieprawdą ma być to, co opowiadam z przed 15-tu laty. Oświadczam, że nie podaję nazwisk tylko dla tego, że wogóle w takich kwestjach *nomina sunt odiosa*, a następnie i dla tego, że nie jest to jedyny fakt albo nawet podstawowy albo też główny, dla którego robię wywód, że z wyborów wychodzą często zwycięzcami „mocne gęby“.—Co się tyczy zarzutu nieprawdy—pomijam takowy mileżeniem. Jeżeli dr. Zieliński zastanowi się spokojnie, albo zechce pomówić

ze mną spokojnie, to „ze smutkiem“ choć bez oburzenia pożałuje zarzutu lekkomyślności mi zrobionego. Osobiście nie uważam za stosowne przejść na ton polemiki oburzenia enotliwego.

3) Zostając na gruncie rzeczowym, dr. Zieliński nie spostrzegłby w tych kilku wierszach dosyć nawet słów, by pozwolić sobie na wywód, że zrobiłem z Gieldy pracy dom rozpusty.

4) List mój ze wzmianką o kongresie w Bourges — w czasie trwania kongresu pisany — który wobec nawału innych wysłanych artykułów nie znalazł był pomieszczenia w „Ogniwi“, zastąpię w przyszłości artykułem o francuskim ruchu syndykalnym, ruchu poważnym i ciekawym, jakkolwiek nie tak wielkim, — ruchu, którego nawet strony ujemne są zjawiskiem godnym poznania, niezależnie od zasług lub enót sekretarzy. Ruch ten znam, jak dr. Zieliński, od lat 13-tu; nie ręczę tylko, że to samo widzimy lub tak samo myślimy. Jeżeli dr. Zieliński zechce wtedy poprawić wrażenia me swemi uwagami, będę rad w interesie czytelników „Ogniwa“. Poproszę tylko d-ra Zielińskiego o więcej spokoju i mniej enotliwego oburzenia; enoty mam — zdaje się — dosyć i obawiam się tylko, czy zasób wiadomości mych jest dostateczny.

Meta.

Z prasy rosyjskiej.

Warsz. Dniwn. w № 347 w „Przeglądzie politycznym“ pisze:

«Hamb. Nachr.» zamieściły artykuł, w którym wspominają o udziale niemieckiej demokracji socjalnej we wszystkich zaburzeniach, odbywających się obecnie w Rosji. Ten spółdział został niewątpliwie udowodniony procesem w Królewie i innemi mniej doniosłymi faktami.

Nadmieniona gazeta mówi z tego powodu, że niepożądane mieszanie się demokracji socjalnej do spraw wewnętrznych zaprzyjaźnionego z Niemcami państwa wpływa niekorzystnie na stosunki międzynarodowe Niemiec, wytwarzając nader kłopotliwe położenie.

Z drugiej strony, w sposób bardzo naturalny, powstaje następujący wniosek. Ponieważ socjaliści niemieccy okazują przyjazne poparcie rewolucjonistom rosyjskim i podlegają ich do obalenia istniejącego w Rosji ustroju państwowego i formy rządu, przeto ci ostatni tymbardziej usilnie zmierzają do urzeczywistnienia swoich zamiarów w swojej ojczyźnie.

Wobec tego rząd powinien przyjść do przekonania, że demokracja socjalna jest niebezpiecznym wrogiem wewnętrznym i zewnętrznym, i dlatego należy przedsięwziąć stosowne środki w celu ukrócenia szkodliwej jej działalności poza granicami ojczyzny i w jej granicach.»

Komunikaty urzędowe.

Petersburg, 22 grudnia. (T. A. P.) — Prezes gubernjalnego ziemstwa czernihowskiego, gubernjalny marszałek szlachty, przedstawił Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszemu Panu telegraficzne starania ziemstwa w całym szeregu spraw znaczenia ogólnopaństwowego. Na telegramie tym Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan raczył nakreślić własnoręcznie te słowa:

Znajduję postępęk prezesa gubernjalnego zebrania ziemskiego zuchwałym i nietaktownym. Nie należy do gubernjalnych zebrań ziemskich zajmowanie się sprawami zarządu państwowego, sfera bowiem działalności i praw ziemstwa jasno jest określona ustawodawstwem.

Petersburg, 27 grudnia (T. A. P.). „Prawitielstwienyj Wiestnik“ zamieścił następujący komunikat urzędowy: Na jesieni r. b. w Petersburgu odbyły się zebrania niektórych radnych z różnych ziemstw gubernjalnych, na których to zebraniach wypowiedziano szereg życzeń co do nieodzownych, zdaniem uczestników, reform w wewnętrznym zarządzie Państwa.

Życzenia te stały się przedmiotem rozważań prasy, rozmaitych z tej lub innej okazji zwoływanych zgromadzeń, jak również — wbrew przepisom prawa, były roztrząsane na posiedzeniach niektórych rad miejskich i zebrań ziemskich pod wpływem osób, usiłujących w życie społeczne i państwowe wprowadzić zamęt i które skorzystały z wynikłego w społeczeństwie fermentu umysłów, przeważnie wśród wrażliwszej młodzieży.

W niektórych miastach Cesarstwa odbyły się szereg szumnych zgromadzeń, które wypowiedziały się za koniecznością przedstawienia rządowi żądań rozmaitych, które nie mogą być dopuszczone na mocy uświęconych przez prawa zasadnicze Cesarstwa niezachwianych podstaw naszego ustroju państwowego. Całe gromady urządzały demonstracje uliczne, przytym policji i władzom był okazywany jawny opór.

Taki ruch przeciwko istniejącej formie rządu, obcy narodowi rosyjskiemu, wiernemu odwiecznym podstawom istniejącego ustroju państwowego, usiłuje nadać wymienionym zamieszkom niewłaściwe dla nich znaczenie dążności ogólnej. Opanowane przez ten ruch osoby, niepomne na ciężką chwilę, która obecnie przypała Rosji w udziale, olśnione zwodniczymi złudzeniami,

jakich oczekują w razie zasadniczej zmiany uświęconych w ciągu stuleci podwór rosyjskiego życia państwowego, same nie zdając sobie z tego sprawy, działają nie na korzyść ojczyzny, a jej wrogów.

Prawnym obowiązkiem rządu jest ochraniać porządek państwowy i spokój publiczny od wszelkich prób zakłócenia normalnego biegu życia wewnętrznego; to też wszelkie zakłócenia porządku i spokoju i wszelkie zebrania o charakterze antyrządowym muszą być i będą powstrzymywane wszelkimi prawnymi środkami, jakimi władza rozporządza, a winni tych zaburzeń, zwłaszcza zaś osoby pozostające w służbie państwowej, będą pociągani do odpowiedzialności prawnej.

Ziemstwa i rady miejskie i wszelkiego rodzaju instytucje społeczne obowiązane są nie przekraczać zakresu powierzonych im spraw i nie poruszać tych kwestji, do których roztrząsania nie mają prawnego upoważnienia.

Przewodniczący zaś zgromadzeń publicznego zarządu, za dopuszczenie nie odnoszących się do ich kompetencji obrad nad sprawami o ogólnopaństwowym charakterze, ulegają odpowiedzialności na podstawie praw obowiązujących.

Organy prasy, zachowując trzeźwy stosunek do wypadków bieżących i świadome swego obowiązku, powinny ze swej strony wnosić niezbędny czynnik uspokojenia do życia społecznego uchylającego się w ostatnich czasach od normalnego biegu.

W *Wiestniku finansów* ogłoszono referat, dotyczący sprawy włościańskiej, rozważany przez osobną radę pod przewodnictwem Sergjusza Wittego. Główne zasady reform bytu włościańskiego, do których zdąża narada, są następujące: sąd gminny ulega zniesieniu, zamieniony przez sąd ogólny niższej kategorii dla całej ludności, niezależny od władzy administracyjnej i wchodzący w skład ogólnych instytucji sądowych. Obowiązki włościańskiego zarządu gromadzkiego będą ograniczone, mianowicie w rękach związków włościańskich pozostaną tylko sprawy, wynikające z tytułu spólnego władania ziemią, wszystkie zaś inne sprawy, dotyczące ogólnego porządku rzeczy i bytu włościańskiego, przejdą do instytucji typu organów ziemskich, a składających się z ziemskiego okręgu i wioskowej gromady, obejmujących całą ludność włościańską; powinność policyjna w naturze zamieniona będzie na policję ujemną, utrzymywaną ze środków całej ludności

wiejskiej. Do włościan stosowane będą: ogólny kodeks cywilny i kar-ny, stosunek do gromady rodziny zamieniony będzie na stosunek osobisty każdej jednostki. Porządek spadkobrania i władania ziemią pozostawiony będzie samym włościanom. Prawo opuszczenia gromady i wyjazd za paszportem pozostawiony będzie całkowicie woli jednostek. Rezultatem prac nad rewizją ustawodawstwa włościańskiego powinno być zdjęcie cech stanowych z włościan, w tej sferze praw, gdzie zachowanie stanowości nie stanowi już ani pożytku, ani potrzeby czasu. Specjalne te narady zaczęły się już z dniem 21 grudnia.

Ministerjum spraw wewnętrznych — jako donosi „Warsz. Dniwn.“ — ogłosiło okólnik treści następującej: „Według wiadomości, nadchodzących do ministerjum, zauważono, że organy policji wogóle, a w szczególności policji śledczej, przyjmują od osób prywatnych specjalne wynagrodzenia za pomyślne poszukiwania. Opierając się na ścisłym brzmieniu art. 705 i 707 o służbie i art. 372 kod. karn. i biorąc pod uwagę, że wykonywanie przez policję działań różnego rodzaju, mających na celu zabezpieczenie interesów ludności, jak np. poszukiwanie skradzionego mienia, jest prostym i bezpośrednim obowiązkiem pomienionych urzędników, którzy za to otrzymują pensję, a w wypadkach wyjątkowej wagi — rangi i ordery, ministerjum spraw wewnętrznych mniema, że przyjmowanie przez organy policji od osób prywatnych jakichkolwiek wynagrodzeń za działania służbowe jest i nielegalne i nie odpowiada stanowisku organów policji. Wobec tego ministerjum spraw wewnętrznych zaleca naczelnikom przedsięwzięcie środków stanowych celem usunięcia pomienionych niepożądanych objawów“.

Kronika Społeczna.

— Generał-gubernator warszawski pozwolił na ustawienie popiersia Staszica w ogrodzie miejskim w Kielcach. Popiersie odlano z żelaza w zakładzie w Białogonie. Spocznie ono na postumencie z kamienia pińczowskiego.

— Minister spraw wewnętrznych zawiesił wydawnictwo pisma „Besarabiec“ na trzy miesiące.

— Korespondent petersburski „Warsz. Dniwnika“ donosi, że sprawę przejrzenia ustawy cenzuralnej, jak mówią, odroczone na czas nieograniczony.

— Z prasy. Wydawnictwo „Bibliote-

ka Dzieł Wyborowych“ przeszło na własność p. Jana Gadomskiego, redaktora „Gazety Polskiej“.

— Jak donoszą pisma petersburskie, w d. 15 (28) b. m. zaczęły wychodzić w Petersburgu nowy dziennik bez cenzury prewencyjnej p. t. „Nasze dni“. Do dziennika tego zaangażowani zostali wszyscy współpracownicy zawieszono na trzy miesiące „Syna Otieczestwa“.

— Z powodu szkodliwego kierunku pisma „Russkaja prawda“, który wyraził się między innymi w artykule wstępnym № 243 tegoż pisma, p. ministce spraw wewnętrznych postanowił udzielić pismu pierwszego ostrzeżenia z zabronieniem sprzedaży numerów oddzielnych.

— Warszawskie Towarzystwo Artystyczne postanowiło urządzić w salonie sztuk pięknych Krywulta „II Wystawę karykatur“ i do udziału w niej zaprosiło wszystkich artystów polskich. Wystawa będzie otwarta d. 7 stycznia.

— Powrót. „Now. Wr.“ otrzymuje następującą wiadomość z Tweru: „W d. 19 b. m. powrócił z zesłania i zwolniony został od nadzoru policyjnego znany miejscowy działacz ziemski i społeczny A. P. Apostołow, wysłany w styczniu r. b. z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych W. K. Plewego do majątku Djakowa w pow. Twerskim na trzy lata bez prawa wyjazdu. Tegoż dnia znany działacz społeczny, były marszałek szlachty pow. Wiesiegońskiego, F. I. Rodiczew, zwolniony został od nałożonego na niego w styczniu r. 1896 ograniczenia co do brania udziału w stanowych i społecznych zebraniach i wyborach. Adw. przys. przy sądzie okręgowym twerskim, S. A. Baławieński, zesłany drogą administracyjną w styczniu r. b. do Archangielskana 5 lat, otrzymał w d. 19 b. m. pozwolenie na powrót z wygnania i uwolniony został z pod nadzoru policyjnego.“

— Duchownemu ormjańsko-gregorjańskiemu, Grzegorzowi Sagomonowi, wydanemu z Kaukazu, pozwolono wrócić do ojczyzny.

— Przerwa w komunikacji. W ciągu ubiegłych dni świątecznych na dwóch liniach kolejowych: iwangrodzkodąbrowskiej i kaliskiej nastąpiło uszkodzenie w trzech miejscach mostów kolejowych, które spowodowało chwilową przerwę w komunikacji pasażerskiej. Na odnodze dąbrowskiej zrujnowane zostały mosty w sobotę ubiegłą na wiorście 42 i 51, pomiędzy stacjami Radomiem i Jedlnią. Przerwa w komunikacji trwała do g. 6, poczym, po naprawieniu uszkodzeń zasadniczych rozpoczęto przepuszczanie pociągów w zwolnionym biegu i z zachowaniem wszelkich ostrożności. Plant kolejowy uległ zepsuciu na długości 10 sążni. Trzeci wypadek uszkodzenia mostu zaszedł na linii kaliskiej, pomiędzy Sieradzem a Zduńską Wolą. Tu uszkodzenie okazało się na tyle nieznaczne, że pociągi z zachowaniem ostrożności można było przepuszczać i ulegały one tylko opóźnieniu.

— Kolej do Płocka. Hr. Lubieński, ks. Lubomirski i adw. przys. Olaszowski rzekli się koncesji na budowę kolei od Nowogieregiewska do Płocka i zażądali zwrotu złożonej kaucji.

— Do petycji Moskwy i Petersburga o pozwolenie zwołania zjazdu prezydentów i przedstawicieli miast — jak donoszą dzienniki petersburskie — przyłącza się coraz więcej rad miejskich. Świeżo taka uchwała zapadła w radzie miasta Wilna.

— W uniwersytecie i instytucie weterynaryjnym w Charkowie zwierzchność szkolna wywiesiła odezwę, wzywającą studentów do zachowania się spokojnie, nieurządzania zbiegowisk i nieprzechowywania pism zabronionych.

— Zmarli. Ludomir Ilinicz - Zajdel, artysta-malarz i rysownik, zmarł w Warszawie, przeżywszy lat 46. Ilustrator pism obrazkowych i wydawnictw książkowych, cieszył się opinią sumiennego i zdolnego pracownika.

— Korkunow Mikołaj, prawnik rosyjski, b. profesor uniwersytetu petersburskiego, autor kilku podręczników z dziedziny prawa państwowego i encyklopedji prawa, zmarł w domu dla obłąkanych.

SPROSTOWANIE.

W sprawozdaniu o polskim przekładzie książki Bölsche'go „Pochodzenie człowieka“ — mylnie podano nie z winy autora, jeno z winy księgarza, u którego książka była kupiona, cenę książki. Książka ta zarówno w wydaniu G. Centnerszvera i Sp., jak i w wydaniu „Biblioteki Naukowej“ kosztuje kop. 60.

TREŚĆ

Najwyższy ukaz imienny.

DZIAŁ NAUKOWY.

Postępy językoznawstwa p. J. F. Gajstera.

DZIAŁ LITERACKI.

Drzewa p. F. Brodowskiego (dok.).

Cień p. Z. Rygiel-Nalkowską.

Wasył Stefanyk: Maj.

Literatura polska: Henri de Régnier: „La double maitresse“ p. Wład—Cz.

Notatki literackie p. m. g.

FELJETON.

Sic itur ad virtutem! V p. L. Krzywickiego.

W sprawie towarzystwa ochrony kobiet p. dr. M. Biro.

Hannibal ante portas! p. Zen. Piet. (dok.)

KORESPONDENCJE.

Listy z Galicji p. —ski.

O prawdę I p. dr. J. Zielińskiego i II p. Mete.

Z prasy rosyjskiej.

Komunikaty urzędowe.

KRONIKA Społeczna.

OGŁOSZENIA.

OGŁOSZENIA.

IV ROK WYDAWNICTWA. BIBLIOTEKA NAUKOWA

wychodząca dwa razy na miesiąc, objętości 96 str. dużego formatu, każdy numer zamieszcza artykuły naukowe ze wszystkich dziedzin nauki w jednej części; w drugiej—książkowej dzieła i studia obszerniejsze. W tym dziale w r. 1905 wyjdą następujące dzieła:

Studia o naturze ludzkiej.—Miecznikowa, dyrektora instytutu Pasteura w Paryżu.
Pismnictwo powszechne na przelomie dziejowym—Początki nowej ery.—przez Ign. Radlińskiego, jak również w dalszym ciągu tegoż autora:

Historja nauki o człowieku.

Arcydzieła Galerji Europejskich przez Jablczyńskiego. W dziele tym autor, rozpoczynając od Muzeum w Krakowie, przedstawi nam, co godnego jest do zobaczenia i jak należy zwiedzać galerje.

Szkice biologiczne przez Jana Tura.

Historja rozwoju kręgowców i człowieka przez J. Tura.

Teorje nadwartości przez K. Marxa, w przekładzie A. I. Warskiego. Jest to dzieło, które według przedmowy Fr. Engelsa do II tomu „Kapitału“, ukazać się miało, jako tom IV Kapitału. Teorje nadwartości, stanowiące same w sobie zakończoną całość, są rozbiorem historyczno-krytycznym klasycznych szkół ekonomicznych. Teorje nadwartości składają się z trzech części. Część pierwsza obejmuje klasyków ekonomji politycznej do fizjokratów; część druga zajmuje się D. Ricardo i jego szkołą; część trzecia traktuje Malthusa oraz rozkład szkoły Ricardowskiej.

Jak powstał świat przez dr. M. Meyera, jak również tegoż autora:

Jaki będzie koniec świata.

Antropologja przez K. Stolyhwę. Książka ta obejmie całokształt wiedzy antropologicznej.

Filozofja społeczna przez A. Riehla.

Niema chyba jednostki inteligentnej, któraby dziś jeszcze nie rozumiała doniosłości i potrzeby **POWAŻNEJ LEKTURY** i nie rozumiała potęgi wiedzy dla narodu.

Biblioteka Naukowa więc znaleźć się powinna w ręku każdej inteligentnej jednostki.

REDAKCJA: Nowy-Swiat Nr. 37, telefonu Nr. 3639.

Prenumerata: w Warszawie rocznie 6 rb., półrocznie 3 rb., kwartalnie 1.50 kop.;
na prowincji: 8 „ 4 „ 2 rb.

Prospekty gratis i franco.

Dla interesujących się **najnowszymi zdobyczami nauki i wiedzy**

ukazujący się co środa

Tygodnik Popularno-Naukowy

PRZY **GOŃCU** PORANNYM
i WIECZORNYM

promieszcza wiadomości o najnowszych postępach w dziedzinie wiedzy, odkryć, podróży i t. p.

GONIEC PORANNY I WIECZORNY

2 razy dziennie najświeższe telegramy i wiadomości.
2 razy dziennie wysyłka pocztą na prowincję.

Cena prenumeracyjna „Gońca” nadzwyczaj przystępna:

z przesyłką pocztową:	w Warszawie:
Miesięcznie k. 60	Miesięcznie k. 50
Kwartalnie rb. 1 k. 75	Kwartalnie rb. 1 k. 50
Rocznie rb. 7 k. —	Rocznie rb. 6 k. —
Zagranicą mies. rb. 1 k. 50	Za odnośnienie do domu k. 15

Adres Redakcyi i Administracyi:

**Warszawa,
Zgoda 5.**

PRZEDPŁATA „OGNIWA” (wraz z dodatkiem) wynosi kwartalnie: w *Warszawie* 1 rub. 75 kop., z przesyłką pocztową w *Królestwie i Cesarstwie* 2 rub., zagranicą 2 rub. 50 kop. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop. Cena numeru 20 kop. *Ogłoszenia* po 10 kop. za wiersz lub jego miejsce. Za dołączanie prospektów wszelkiej treści rb 10 od tysiąca egzemplarzy oprócz opłaty pocztowej.

Ajentura na *Łódź*: Księgarnia M. Ettingera, Piotrkowska, 38.—Na *Kraków*: Filja Ekspedycji ul. Grodzka 50 oraz Biuro czasopism „Hopcas i Salomonowa“, Plac Marjacki, 2.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Lipowa, 7. Administracja otwarta codziennie (oprócz dni świątecznych) od godziny 10 do 3.—Redakcja we wtorki i czwartki 4—6 po p.

Wydawca **L. Niemyski.**

Za Redaktora **L. Niemyski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Декабря 1904 год.

Druk Piotra Łaskauera i S-ki, Nowy-Swiat 41.

Ostatnie wydawnictwa księgarni

M. Borkowskiego.

JAK ODPOWIADAĆ na pytania dziecięce R. Penzig'a. Rb. 1.80.
CZECHOW. Opowiadania. 1.—
MIŁOŚĆ i MAŁŻENSTWO. E. Key. 50.

NOWE SŁOWO

Dwutygodnik literacko-społeczny

poświęcony kwestji kobiecej, wychodzący w Krakowie pod redakcją **MARJI TURZYM**, uzyskał dobit pocztowy w Cesarstwie Rosyjskim od Nowego Roku 1905.

Prenumerata kwartalnie: 1 rb. 50 kop., № pojedynczy 20 kop.

Administracja: Kraków, № 50. Grodzka. Przedstawicielstwo w Warszawie — w księgarni pp. G. Cennerszvera i S-ki, Marszałkowska 143.

PENSJONAT

„Obrochtówka
sióstr Marchlewskich
W ZAKOPANY
przy ulicy Chałubińskiej

Polecamy pokoje słoneczne na sezon letni i zimowy. Położenie uroczyście, wśród lasu. Doskonała kuchnia, wzorowa usługa. Fortepjan w domu.

CENY PRZYSTĘPNE.

Prenumeratorowie „Ogniwa” krzywickiego. — Nabywający w Administracji płać za **Kwestję Rolną** (zamiast 2 rb. 50 kop.) **Rb. 1 kop. 80**, (z przesyłką rekomendowaną 2 rb.), za **Rasy Psychiczne** (zamiast rb. 1 kop. 20 —) **80 kop.** (z przesyłką rekomendowaną 1 rb.).